

HENNING  
MANKELL

o krok



**Henning Mankell** (ur. 1948)

jeden z najpopularniejszych pisarzy szwedzkich, a zarazem wybitny dziennikarz i człowiek teatru, zasłynął serią publikowanych od 1991 roku powieści kryminalnych, których bohaterem jest komisarz Wallander. Stały się one bestsellerami nie tylko w Szwecji, na całym świecie osiągnęły łączny nakład ponad szesnastu milionów egzemplarzy; doczekały się przekładów na dwadzieścia pięć języków i wielu ekranizacji, w tym trzynastoodcinkowego serialu telewizyjnego (2004). Mankell to także autor powieści o tematyce społecznej, m.in. *Comédia infantil* (wyd. pol. w przygotowaniu), książek dla dzieci i młodzieży, dramaturg i reżyser teatralny. Jego twórczość przyniosła mu wiele nagród, m.in. Nagrodę Astrid Lindgren (1996) i prestiżową niemiecką Nagrodę Tolerancji (2004). Mieszka na przemian w Szwecji i w Mozambiku. Nakładem W.A.B. ukazało się dotychczas siedem jego powieści kryminalnych: *Fałszywy trop* (2002), *Piąta kobieta* (2004), *Morderca bez twarzy* (2004), *Biała Iwica* (2005), *O krok* (2006), *Psy z Rygi* (2006) i *Mężczyzna, który się uśmiechał* (2007). Wkrótce — *Ściana ognia*.

HENNING

**MANKELL**

---

**o krok**

w serii ukazały się:

Jean-Claude Izzo *Total Cheops*

Marek Krajewski *Koniec świata w Breslau*

Marek Krajewski *Widma w mieście Breslau*

Henning Mankell *Fałszywy trop*

Henning Mankell *Morderca bez twarzy*

Henning Mankell *Piąta kobieta*

Henning Mankell *Biała lwica*

Aleksandra Marinina *Ukradziony sen*

Aleksandra Marinina *Męskie gry*

Aleksandra Marinina *Śmierć i trochę miłości*

Aleksandra Marinina *Gra na cudzym boisku*

Aleksandra Marinina *Złowroga pętla*

Joanna Szymczyk *Ewa i złoty kot*



MRO CZNA  
SERIA

HENNING

**MANSELL**

---

**o krok**

przełożyła IRENA KOWADŁO-PRZEDMOJSKA

Wydawnictwo  
**ab**  
two

Patronat medialny



Tytuł oryginalu: *Steget efter*

Copyright © 1997 by Henning Mankell

Published by agreement with Ordfronts Förlag AB, Stockholm,  
and Leonhardt & Høier Literary Agency aps, København.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2006

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2006

Wydanie I  
Warszawa 2006



*W przyrodzie istnieje o wiele więcej układów  
nieuporządkowanych niż uporządkowanych...  
z drugiej zasady termodynamiki*

Uwertura do opery *Rigoletto* Giuseppe Verdiego

## Prolog

Deszcz przestał padać tuż po piątej.

Mężczyzna przykucnięty obok grubego pnia drzewa ściągał ostrożnie kurtkę. Deszcz nie był ulewny, padał nie dłużej niż pół godziny. A jednak przemokło mu ubranie. Ogarnęła go nagła wściekłość. Nie chciał się przeziębic. Nie teraz, nie w środku lata.

Położył kurtkę na ziemi i wstał. Nogi miał zeszywniałe. Rozglądał się uważnie dokoła, kołysząc się powoli w przód i w tył, żeby pobudzić krążenie.

Wiedział, że ci, na których czeka, nie zjawią się przed ósmą. Tak się umówili. Istniało jednak pewne, choć niewielkie ryzyko, że którymś ze szlaków przecinających rezerwat przyrody będą schodzili inni ludzie.

Jedynie to mogło pokrzyżować mu plany. Jedynie tego nie był pewny.

Mimo to nie odczuwał niepokoju. Była wigilia święta letniego przesilenia\*. W rezerwacie nie było kempingów ani placów zabaw. Ci, na których czekał, wybrali to miejsce z rozmysłem. Nie chcieli, by im przeszkadzano.

Dwa tygodnie wcześniej ustalili, gdzie się spotkają. Wówczas już od wielu miesięcy deptał im po piętach. Dzień po tym, jak się umówili, zaczął szukać tego miejsca. Wędrował przez rezerwat, starając się, by nikt go nie dostrzegł. W pew-

---

\* Święto letniego przesilenia, czyli najkrótszej nocy (noc świętojańska), jest jednym z najważniejszych szwedzkich świąt. Obchodzi się je zawsze po dwudziestym czerwca, z piątku na sobotę. (Przypisy pochodzą od tłumaczki.)

nej chwili na jednej ze ścieżek pojawiła się para starszych ludzi. Skrył się w pobliskim zagajniku i czekał, aż przejdą.

Odnalazłszy miejsce, które wybrali na nocne oczekiwanie, uznał, że jest wprost wymarzone. Leżało w zagłębieniu terenu. Otaczały je gęste zarośla. A dalej był niewielki zagajnik.

Doprawdy nie mogli wybrać lepszego miejsca.

I dla siebie, i dla niego.

Niebo przejaśniło się. Wyjrzało słońce i natychmiast zrobiło się ciepiej.

Czerwiec był w tym roku chłodny. Wszyscy wokół narzekali na spóźnione lato w Skanii. Potakiwał.

Zawsze potakiwał.

To jedyny sposób, żeby uniknąć wpadki, myślał. Ominąć każdą przeszkodę na drodze.

Opanował tę sztukę. Sztukę potakiwania.

Spojrzał na niebo. Nie powinno już padać. Wiosna i początek lata były rzeczywiście bardzo chłodne. Teraz jednak, w święto najkrótszej nocy, nareszcie wyjrzało słońce.

Będzie piękny wieczór, pomyślał. W dodatku niezapomniany.

W powietrzu unosił się zapach wilgotnej trawy. Gdzieś w pobliżu usłyszał trzepot ptasich skrzydeł. Poniżej, z lewej strony, prześwitywało morze.

Stanął w rozkroku i wypluł prymkę, która rozplywała mu się w ustach. Wgniół ją nogą w piach.

Nigdy nie pozostawiał po sobie śladów. Nigdy. Ale często myślał, że powinien rzucić tytoń. To zły nawyk i do niego nie pasuje.

\*

Postanowili spotkać się w Hammar.

Tak było najlepiej, bo jedni jechali z Simrishamnu, a drudzy z Ystadu. Samochody mieli zaparkować w rezerwacie przyrody i dojść do wyznaczonego miejsca.

Właściwie nie była to wspólna decyzja. Przez dłuższy czas rozpatrywali rozmaite warianty, przesyłając sobie kolejne propozycje. Gdy wreszcie ktoś z nich zaproponował to miejsce, przyjęli je bez zastrzeżeń. Być może dlatego, że już nie mieli czasu. Trzeba było jeszcze sporo załatwić. Ktoś zajął się zor-

ganizowaniem prowiantu, ktoś inny pojechał do Kopenhagi wypożyczyć stroje i peruki. Wszystko zostało drobiazgowo zaplanowane.

Przygotowali się również na złą pogodę.

O drugiej po południu jeden z nich zapakował dużą plastikową płachtę do czerwonego worka. Włożył tam jeszcze rolkę taśmy klejącej i parę starych aluminiowych kołków. Pozostaną na zewnątrz nawet w razie deszczu. Ale będą mieli schronienie.

Wszystko było gotowe. Jednak nikt nie mógł przewidzieć tego, co nastąpiło.

Któreś z nich nagle zachorowało.

Była to młoda kobieta. Być może właśnie ona najbardziej się cieszyła na świętojańską zabawę. Poznała ich wszystkich przeszło rok wcześniej.

Obudziła się wcześniej rano z uczuciem nudności. Z początku myślała, że to ze zdenerwowania. Kilka godzin później, już po dwunastej, przyszła gorączka i torsje. Ciągle jeszcze liczyła, że to minie. Kiedy jednak chłopak, z którym miała jechać, zadzwonił do drzwi, otworzyła na drżących nogach i powiedziała, że jest chora.

Spotkali się więc w Hammar tylko we trójkę, tuż przed wpół do ósmej, w świętojański wieczór. Niespodziewana choroba nie popsowała im nastroju. Wiedzieli z doświadczenia, że w życiu bywa różnie.

Zaparkowali samochody przy wjeździe do rezerwatu, wzięli koszyki i ruszyli jedną z leśnych ścieżek. Komuś zdawało się, że z oddali dochodzą dźwięki akordeonu. Poza tym słychać było tylko ptaki i odległy szum morza.

Gdy dotarli na miejsce, od razu im się spodobało. Tu w spokoju będą mogli doczekać świtu. Niebo było bezchmurne. Zapowiadała się jasna noc.

Wspólne obchody święta zaplanowali na początku lutego. Zwierzali się sobie wówczas z tęsknoty za jasną, letnią nocą. Pili dużo wina, prowadząc długie, żartobliwe dyskusje na temat zmiernych.

Kiedy zaczyna się moment pomiędzy jasnością a mrokiem, który nazywamy zmiernem? Czy można go opisać słowami? Co widać, gdy światło jest tak słabe, że znajdujemy się w nie-

określonym „pomędzy”, w wymykającej się chwili, na skraju z wolna wydłużającego się cienia?

Mieli rozbieżne zdania i kwestia zmierzchu pozostała nierozstrzygnięta. Ale już wtedy, tamtego wieczoru, zaczęli snuć plany zabawy.

Kiedy dotarli do zapadliny i odstawili kosze z prowiantem, rozeszli się w różne strony, by przebrać się w gęstych zaroślach. Wkładali peruki, przeglądając się w kieszonkowych lusterkach wciśniętych między gałęzie drzew.

Nikomu nie przyszło do głowy, że opodal stoi mężczyzna i przygląda się ich skomplikowanym przygotowaniom. Najłatwiej było nałożyć peruki. Trudniej gorsety, poduszki i halki. Na końcu jeszcze fulary, kryzy i grubą warstwę pudru na twarz. Wszystko musiało być naprawdę. Zabawę traktowali serio.

O ósmej wyłonili się z zarośli i popatrzyli na siebie. Byli głęboko poruszeni. Po raz kolejny wymykali się ze swojego czasu i wkraczali w inną epokę.

W epokę Bellmana\*.

Podeszli bliżej i parsknęli śmiechem. Ale szybko znów spoważniali. Rozpostarli duży obrus, z koszy wyjęli wiktuały i włączyli magnetofon z nagraniem *Listów Fredmana*\*\*.

Zabawa się zaczęła. Gdy nadejdzie zima, będą wspominać ten letni wieczór. Będzie ich wiązała kolejna wspólna tajemnica.

\*

Około północy nadal nie był zdecydowany. Wiedział, że nie musi się śpieszyć. Zostaną tu do rana. Być może nawet prześpią całe przedpołudnie.

Znał ich plany w najdrobniejszych szczegółach. Dawało mu to poczucie olbrzymiej przewagi.

Tylko ten, kto ma przewagę, może uniknąć wpadki.

Tuż po jedenastej byli już podchmieleni. Wtedy ostrożnie zmienił pozycję. Gdy po raz pierwszy znalazł się w tym miejscu, wyznaczył sobie punkt obserwacyjny. Były to gęste zarośla na zboczu. Miał stamtąd otwarty widok na wszystko, co

---

\* Carl Mikael Bellman (1740–1795) – szwedzki poeta i kompozytor.

\*\* *Listy Fredmana (Fredmans epistlar)* – zbiór pieśni Bellmana.

działo się na jasnoniebieskim obrusie. Mógł podejść zupełnie blisko, niezauważony. Od czasu do czasu odchodzili na bok za potrzebą. Widział wszystko, co robili.

Minęła północ. Nadal czekał. Wahał się.

Coś się nie zgadzało.

Miało ich być czworo. Brakowało jednej osoby. Przez myśl przemknęło mu kilka możliwych powodów. Nie znajdował wytłumaczenia. Zaszło coś nieprzewidzianego. Może dziewczyna się rozmyśliła? Może zachorowała?

Słyszał muzykę. Śmiech. Chwilami wyobrażał sobie, że siedzi na dole przy jasnoniebieskim obrusie z kieliszkiem w ręku. Później zmierzy perukę. A może nawet kostium? Mógł zrobić wszystko, co zechce. Miał nieograniczone możliwości. Nawet gdyby był niewidzialny, jego przewaga nie byłaby większa.

Jeszcze czekał. Śmiech wznosił się i opadał. Gdzieś wysoko ponad głową przeleciał nocny ptak.

Było dziesięć po trzeciej.

Nie chciał już dłużej czekać. Nadszedł czas. Czas, który sam wyznaczył.

Właściwie nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miał na rękę zegarek. Mimo to godziny i minuty nieustannie w nim tykały. Miał w sobie wewnętrzny zegar, który zawsze dobrze chodził.

W dole, wokół jasnoniebieskiego obrusa, było cicho. Leżeli spleceni ramionami, słuchając muzyki. Wiedział, że nie śpią. Pograżeni głęboko w marzeniach, nie podejrzewali, że jest tuż za nimi.

Wziął do ręki pistolet z tłumikiem, który leżał na złożonej kurtce. Rozejrzył się pośpiesznie.

Potem przemknął się w kierunku pobliskiego drzewa. Był dokładnie za nimi. Przystanął na kilka sekund. Nikt nic nie zauważył. Rzucił ostatnie spojrzenie wokoło. Nikogo w pobliżu.

Byli sami.

Wyszedł zza drzewa i zabił ich kolejno jednym strzałem w czoło. Nic nie mógł poradzić na to, że krew trysnęła na białe peruki.

Wszystko stało się tak szybko, że ledwie zdążył to zarejestrować.

Teraz leżeli przed nim martwi. Ciasno spleceni, jak kilka sekund wcześniej.

Wyłączył magnetofon. Nasłuchiwał. Ptaki świergotały. Znow się rozejrzał. Naturalnie nikogo nie było.

Odłożył pistolet na obrus, na którym przedtem rozłożył serwetkę. Nigdy nie zostawiał śladów.

Potem usiadł. Przyglądał się tym, którzy dopiero co się śmiali, a teraz leżeli martwi.

Idylla dalej trwa, pomyślał. Z tą różnicą, że teraz jest nas czworo. Tak jak było zaplanowane od początku.

Nalał sobie kieliszek czerwonego wina. Z reguły nie pił. Ale teraz nie mógł się powstrzymać.

Potem przymierzył perukę. Spróbował jedzenia. Nie był zbyt głodny. Dochodziło wpół do czwartej, gdy wstał.

Miał jeszcze wiele do zrobienia. W rezerwacie pojawiały się ranne ptaszki. Chociaż było to mało prawdopodobne, ktoś mógł zboczyć z wytyczonej ścieżki i natknąć się na zapadlinę. Nie może zostawić żadnych śladów.

Nie tym razem.

Na końcu, zanim się oddalił, przeszukał torby i ubrania. Znalazł to, czego szukał. Wszyscy mieli przy sobie paszporty. Włożył je do kieszeni kurtki. Później, w ciągu dnia je spali.

Rozejrzał się po raz ostatni. Wyjął z kieszeni mały aparat i zrobił zdjęcie.

Jedno jedyne.

Miał wrażenie, że patrzy na obraz przedstawiający osiemnastowieczny piknik.

Tyle tylko, że obraz był spryskany krwią.

Nadszedł świąteczny poranek. Sobota, dwudziesty drugi czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku.

Zapowiadał się piękny dzień.

W Skanii nareszcie zapanowało lato.

## Część I

### 1

W środę, siódmego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku Kurt Wallander omal nie zginął w wypadku samochodowym, na wschód od Ystadu. Zdarzyło się to wcześniej rano, wkrótce po szóstej. Właśnie minął Nybrostrand, kierując się na Österlen. Nagle przed jego peugeotem wyrosła spiętrzona masa samochodu ciężarowego. Klakson ciężarówki usłyszał w momencie, gdy gwałtownie skręcał kierownicę.

Chwilę później zjechał na pobocze. Dopiero wtedy ogarnął go strach. Serce tłukło mu się w piersiach. Miał mdłości i zawroty głowy. Zdawało mu się, że za chwilę zemdleje. Kurczowo zaciskał ręce na kierownicy.

Kiedy się uspokoił, powoli dotarło do niego, co się stało.

Zasnął za kierownicą. Wystarczyła sekunda, by jego stary samochód zaczął zjeżdżać na lewy pas jezdni.

W następnej sekundzie by nie żył, zmiażdżony przez ciężarówkę. Na myśl o tym poczuł w sobie pustkę. Pamiętał tylko, jak kilka lat wcześniej, pod Tingsryd, omal nie zderzył się z losiem. Wtedy jednak była mgła i ciemno.

Tym razem po prostu przysnął za kierownicą.

Zmęczenie.

Nie wiedział, skąd ono się bierze. Spadło na niego bez uprzedzenia na początku czerwca, tuż przed urlopem. W tym roku postanowił wziąć urlop wcześniej. Ale cały czerwiec rozplynął się w deszczu. Gdy tylko wrócił do pracy, zaraz po świętym Janie, w Skanii zapanowała piękna i ciepła pogoda.

Towarzyszyło mu nieustanne znużenie. Potrafił zasnąć na krześle. Nawet po dobrze przespanej nocy musiał się rano zmuszać do wstania z łóżka. Prowadząc samochód, często zjeżdżał na pobocze, żeby się chwilę zdrzemnąć.

Linda, jego córka, zauważyła to podczas wspólnych wakacji, kiedy przez tydzień jeździli po Gotlandii. Na jedną z ostatnich nocy zatrzymali się w pensjonacie w Burgsvik. Był piękny wieczór. Dzień spędzili na wędrowce po południowym cyplu wyspy. Zanim wrócili na noc do pensjonatu, zjedli obiad w pizzerii.

Pytała go o powód zmęczenia. Widział jej twarz w świetle lampy naftowej. Zarejestrował, że pytanie było dobrze przygotowane. Wykręcał się. Nic mu nie jest. Chyba nic dziwnego, że część urlopu spędza na odsypianiu zaległości. Linda więcej nie pytała. Ale spostrzegł, że mu nie wierzy.

Tak dłużej być nie może, pomyślał. To nie jest zwykłe zmęczenie. Coś jest nie tak. Próbował przywołać inne objawy, świadczące o jakiejś chorobie. Ale poza tym, że budził się nieraz w nocy z powodu kurczu w łydkach, nic nie przychodziło mu do głowy.

Uświadomił sobie, jak bliski był śmierci. Nie może dłużej zwlekać. Dzisiaj zamówi wizytę u lekarza.

Włączył silnik i ruszył. Opuścił boczną szybę. Był już sierpień, ale nadal utrzymywało się letnie ciepło.

Wallander jechał do domu ojca w Löderupie. Przejeżdżał tą drogą niezliczoną ilość razy. W dalszym ciągu nie potrafił pogodzić się z faktem, że w przesyconej zapachem terpentyny pracowni nie zobaczy już ojca siedzącego przy sztalugach i malującego obrazy z niezmiennie powracającym motywem: pejzaż z głuszcem na pierwszym planie. Albo bez głuszca. Słońce podwieszane na niewidzialnych niciach, tuż nad koronami drzew.

Niedługo miną dwa lata. Dwa lata od dnia, kiedy Gertruda zadzwoniła do komendy w Ystadzie i powiedziała, że ojciec leży martwy na podłodze pracowni. Do dzisiaj zachował w pamięci wyraźne, dręczące wspomnienie faktu, że w drodze do Löderupu negował oczywistą prawdę. Zrozumiał, że musi jej spojrzeć w oczy, kiedy na podwórzu dostrzegł Gertrudę. Wiedział, co go czeka.

Ostatnie dwa lata szybko przeleciały. Odwiedzał Gertrudę, która nadal mieszkała w domu ojca, kiedy tylko mógł. Ale zdecydowanie zbyt rzadko. Minął przeszło rok, gdy wreszcie zabrali się do porządkowania pracowni. Znaleźli trzydzieści dwa skończone i podpisane obrazy. Pewnego grudniowego wieczoru w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku, usiadłszy przy stole w kuchni Gertrudy, sporządzili listę osób, którym zamierzali je podarować. Wallander zatrzymał dwa z nich dla siebie. Pierwszy z głuszcem, drugi bez. Linda dostała jeden, tak samo jak Mona, była żona Wallandera. Jego siostra, Kristina, nie chciała ani jednego. Zaskoczyło go to i zasmuciło. Gertruda miała ich dużo i więcej nie chciała. Zostało do oddania jeszcze dwadzieścia osiem obrazów. Wallander, z pewnym wahaniem, wysłał jeden z nich inspektorowi policji kryminalnej w Kristianstad, z którym utrzymywał luźny kontakt. Rozdali już dwadzieścia trzy obrazy i nikt więcej nie przychodził im do głowy. Wszyscy krewni Gertrudy zostali już obdarowani. Pozostało jeszcze pięć płócien.

Wallander zastanawiał się, co robić. Wiedział, że spalić ich nie potrafi.

Właściwie obrazy były własnością Gertrudy. Uważała jednak, że należą się jemu i Kristinie. Nie jej, która tak późno wkroczyła w życie ich ojca.

Wallander minął zjazd na Kåseberge. Za chwilę będzie na miejscu. Myślał o tym, co go czeka. Pewnego majowego wieczoru, przy okazji wizyty u Gertrudy, wybrali się na długi spacer po krętych, wyjeżdżonych traktorem drózkach między polami rzepaku. Powiedziała wtedy, że nie chce dłużej mieszkać w tym domu. Czowała się zbyt samotna.

- Wolę się wyprowadzić, zanim zaczniesz tu straszyć - powiedziała.

W pewnym sensie ją rozumiał. Sam chyba reagowałby podobnie.

Podczas spaceru poprosiła go o pomoc w sprzedaży domu. Nie ma pośpiechu, można zaczekać do końca lata. Ale chciałaby się wyprowadzić przed jesienią. W okolicach Rynge miała siostrę, która świeżo owdowiała. Postanowiła się tam przeprowadzić.

Nadszedł umówiony dzień. Tej środy Wallander wziął wolne. O dziewiątej mieli się spotkać z pośrednikiem z Ystadu i wspólnie ustalić cenę domu. Przedtem chcieli przejrzeć z Gertrudą ostatnie kartony z rzeczami ojca. Tydzień wcześniej wszystko spakowali. Martinsson, kolega z pracy, przyjechał z przyczepą i zrobili kilka kursów na wysypisko śmieci za Hedeskogą. Myślał z narastającym uczuciem przykrości, że wszystko, co pozostaje po człowieku, nieuchronnie trafia na śmietnik.

Po ojcu, oprócz wspomnień, zostało trochę starych zdjęć, pięć obrazów oraz kilka pudeł starych listów i dokumentów. Nic więcej. Życie zostało zaksięgowane i podliczone.

Wallander zjechał na drogę prowadzącą do domu ojca.

Zauważył Gertrudę na podwórzu. Zawsze wcześniej wstawała.

Przywitała się z nim. Ku swojemu zdziwieniu stwierdził, że nosi tę samą suknię, co w dniu ślubu z ojcem. Ścisnęło go w gardle. Dla Gertrudy był to szczególny dzień. Na zawsze opuszczała swój dom.

Wypili kawę w kuchni. Za otwartymi drzwiami szafek widać było puste półki. Siostra Gertrudy miała przyjechać po nią tego samego dnia. Wallander zatrzymał jeden klucz od domu, drugi miał dać pośrednikowi.

Przejrzeli zawartość dwóch kartonów. Wśród starych listów zaskoczony Wallander znalazł parę dziecięcych butów, które pamiętał z dzieciństwa. Czyżby ojciec przechowywał je przez te wszystkie lata? Wyniósł kartony do samochodu. Już zatrząskiwiał drzwi, kiedy na schodach spostrzegł Gertrudę. Uśmiechała się.

- Zostało pięć obrazów - powiedziała. - Zapomniałeś?

Wallander pokręcił głową. Poszedł w stronę budynku gospodarczego, gdzie ojciec miał pracownię. Drzwi były otwarte, wewnątrz czysto wysprzątane. W powietrzu nadal unosił się zapach terpentyny. Na starej płytce elektrycznej stał garnek, w którym ojciec gotował niezliczone ilości kawy.

Może tu jestem ostatni raz, pomyślał Wallander. Ale w przeciwieństwie do Gertrudy nie wyglądam elegancko. Mam na sobie codzienne, znoszone ubranie. I gdybym nie miał szczęścia, już

bym nie żył. Jak ojciec. Linda musiałaby wywozić na śmietnik to, co po mnie zostało. W moich rzeczach znalazłaby dwa obrazy, jeden z głuszcem na pierwszym planie.

Czuł się nieswojo. Ojciec był ciągle obecny w mrocznej pracowni. O ścianę stały oparte obrazy. Przeniósł je do samochodu. Położył w bagażniku i przykrył kocem. Gertruda nadal stała na schodach.

- Nic więcej nie ma.

Wallander kiwnął głową.

- Nic więcej - powiedział. - Nic.

O dziewiątej samochód agenta zajechał na podwórze. Kiedy mężczyzna wysiadł z samochodu, zaskoczony Wallander ujrzał znajomą twarz. Był to niejaki Robert Åkerblom. Kilka lat wcześniej ktoś brutalnie zamordował jego żonę, a ciało wrzucił do starej studni. Dochodzenie w tej sprawie Wallander wspominał jako jedno z najtrudniejszych i najbardziej przykrych w swojej karierze. Zmarszczył czoło, nieco skonsternowany. Podpisał umowę z jedną z największych agencji nieruchomości w Szwecji. Biuro Åkerbloma nie pracowało dla niej. O ile w ogóle jeszcze istniało. Jeśli dobrze pamiętał, chodziły słuchy, że zamknął je wkrótce po zabójstwie Louise Åkerblom.

Wyszedł na schody. Robert Åkerblom nic się nie zmienił. Wallander pamiętał, jak podczas ich pierwszego spotkania płakał u niego w biurze. Uważał wtedy, że Åkerblom jest mężczyzną, którego powierzchowności nigdy nie zapamięta. Jego niepokój i ból po śmierci żony był szczery. Wallander przypominał sobie, że on i żona byli bodajże członkami Kościoła metodystów.

Podali sobie ręce.

- Znów się spotykamy - powiedział Robert Åkerblom.

Nawet głos zabrzmiał znajomo. Wallander poczuł się zakłopotany. Nie wiedział, jak się zachować. Ale Åkerblom odezwał się pierwszy.

- Oplakuję ją dzisiaj nie mniej niż wtedy - powiedział powoli. - Ale jeszcze trudniej jest dziewczynkom.

Wallander przypomniał sobie ich dwie córeczki. Były wtedy zupełnie małe. A jednak coś rozumiały.

- Musi wam być ciężko - odparł. Obawiał się, że powtórzy się to, co kiedyś. Åkerblom się rozplacze. Ale nie.

- Staralem się dalej prowadzić biuro. Ale nie byłem w stanie. Jeden z konkurentów zaproponował mi posadę i przyjąłem ją. Nigdy tego nie żałowałem. Skończyło się wieczorne ślęczenie nad rachunkowością. Mogłem więcej czasu poświęcić córkom.

Gertruda wyszła na podwórze. Razem obeszli dom. Robert Åkerblom notował, zrobił kilka zdjęć. Potem usiedli w kuchni napić się kawy. Cena, którą Åkerblom zaproponował, z początku wydawała się Wallanderowi zbyt niska. Po chwili zdał sobie sprawę, że była trzy razy wyższa od ceny, którą niegdyś zapłacił ojciec.

Tuż po wpół do jedenastej Robert Åkerblom odjechał. Wallander uznał, że powinien zostać, dopóki po Gertrudę nie przyjedzie siostra. Odgadła jego myśli. Uspokoiła go, że może ją bez obawy zostawić samą.

- Jest piękny dzień - dodała. - Nareszcie prawdziwe lato. Pod sam koniec. Posiedzę sobie w ogrodzie.

- Zostanę, jeżeli chcesz. Mam dzisiaj wolne.

Gertruda pokręciła głową.

- Odwiedz mnie w Ryngie - powiedziała. - Ale dopiero za parę tygodni. Muszę się najpierw urządzić.

Wallander wszedł do samochodu i odjechał w kierunku Ystadu. Miał jechać prosto do domu i zamówić wizytę u lekarza. A później zarezerwować sobie czas w pralni i posprzątać mieszkanie. Nie śpieszył się, wybrał więc dłuższą drogę. Lubił prowadzić.

Błądził myślami, spoglądając na krajobraz. Właśnie mijal Vallebergę, kiedy odezwał się telefon. Dzwonił Martinsson. Wallander zjechał na pobocze.

- Szukałem cię - powiedział Martinsson. - Nikt mnie oczywiście nie poinformował, że masz wolne. A przy okazji: czy wiesz, że twoja automatyczna sekretarka nie działa?

Wallander wiedział, że sekretarka czasami się zacina. Od razu jednak wyczuł, że coś się stało. Od kiedy był policjantem,

zawsze miał ten sam objaw. Ucisk w dołku. Wstrzymał oddech.

- Dzwonię z pokoju Hanssona – ciągnął dalej Martinsson.  
- Jest u mnie matka Astrid Hillström.

- Czyja?

- Astrid Hillström. Jednej z zaginionych.

Wallander zorientował się, o kim mowa.

- Czego chce?

- Jest bardzo wzburzona. Dostała pocztówkę od córki, nadaną w Wiedniu.

Wallander zmarszczył czoło.

- To chyba dobra wiadomość? Że dała znać?

- Matka twierdzi, że to nie ona pisała. Mówi, że to podróbka. I jest oburzona, że nic nie robimy.

- Co mamy robić, skoro nie popełniono przestępstwa? Mamy mnóstwo dowodów na to, że wyjechali z własnej woli.

Nastąpiła chwila milczenia, a potem Wallander znów usłyszał głos Martinssona.

- Nie wiem, co myśleć. Ale mam wrażenie, że coś jest nie tak. Chociaż nie wiem co. Ale coś.

Wallander wyostrzył uwagę. Z biegiem lat nauczył się poważnie traktować intuicję Martinssona. Często się okazywało, że miał rację.

- Chcesz, żebym przyjechał?

- Nie. Ale uważam, że ty, ja i Svedberg musimy to jutro przedyskutować.

- Powiedz, o której.

- Może o ósmej? Przekażę Svedbergowi.

Skończyli rozmowę. Wallander dalej siedział w samochodzie. Wodził wzrokiem za pracującym na polu traktorem.

Zastanawiał się nad tym, co powiedział Martinsson. Sam już wielokrotnie spotykał się z matką Astrid Hillström.

Odtworzył w myślach kolejność wydarzeń.

Kilka dni po święcie najkrótszej nocy dostali meldunek o zaginięciu trojga młodych ludzi. Było to tuż po jego powrocie z deszczowego urlopu. Zajął się sprawą wraz z kilkoma kolegami. Od początku był zdania, że nie popełniono przestępstwa. Trzy dni później przyszła zresztą pocztówka z Ham-

burga. Ze zdjęciem stacji kolejowej. Wallander pamiętał dokładnie jej treść: „Podróżujemy po Europie. Zapewne w połowie sierpnia będziemy z powrotem”.

Dzisiaj jest środa, siódmy sierpnia. Wkrótce więc wrócą do domu. Przyszła jeszcze jedna pocztówka, od Astrid Hillström. Nadana w Wiedniu.

Na pierwszej kartce podpisała się cała trójka. Rodzice rozpoznali podpisy. Tylko matka Astrid Hillström się wahała. Ale tamci ją przekonali.

Wallander spojrział w boczne lusterko i wyjechał na szosę. Intuicja Martinssona często okazywała się trafna.

Zaparkował na Mariagatan, wniósł na górę kartony i obrazy. Potem usiadł przy telefonie. U lekarza domowego odezwała się automatyczna sekretarka. Był na urlopie do dwunastego sierpnia. Wallander zastanawiał się, czy zaczekać, aż wróci. Nie opuszczała go jednak myśl, że rano cudem uniknął śmierci. Zadzwoił do innego lekarza i zapisał się na następny dzień na jedenastą. Zamówił na wieczór pranie i zabrał się do sprzątania. Ledwie ogarnął sypialnię, poczuł się zmęczony. Salon odkurzył po łóbkach i odstawił odkurzacz na miejsce.

Przeniósł kartony i obrazy do pokoju, w którym mieszkała Linda podczas swych sporadycznych odwiedzin. Wypił trzy szklanki wody w kuchni.

To dziwne, że tak często chce mu się pić. Zmęczenie. Pragnienie. Skąd się to bierze?

Była dwunasta. Poczul głód. Jedno spojrzenie do lodówki wystarczyło, żeby stwierdzić, że nie ma sobie wiele do zaoferowania. Włożył kurtkę i wyszedł z domu. Było ciepło. Przeszedł się do centrum.

Przystawał kolejno przed trzema agencjami nieruchomości i przyglądał się wywieszonym na szybie ofertom. Doszedł do wniosku, że cena zaproponowana przez Åkerbloma była rozsądna. Za dom w Löderupie nie mogli dostać więcej niż trzyście tysięcy.

Wstąpił do baru i zjadł hamburgera. Wypił dwie butelki wody mineralnej. Potem wszedł do sklepu z obuwiami, gdzie miał znajomego właściciela, i skorzystał z toalety. Był w roz-

terce. Powinien wykorzystać wolny dzień na zakupy. Pusta była nie tylko lodówka, ale i spiżarka. Nie miał jednak ochoty wracać po samochód i jechać do supermarketu. Ruszył Hamngatan, minął tory kolejowe i skręcił w Spanienfaragatan. Kiedy dotarł do przystani, szedł wolno wzdłuż pomostów i przyglądał się przycumowanym łodziom. Usiłował sobie wyobrazić, że żegluje. Nie miał w tej dziedzinie żadnego doświadczenia. Znowu mu się chciało sikać. Skorzystał z toalety w barze, wypił kolejną butelkę wody mineralnej i usiadł na ławce przy czerwonym baraku morskiej służby ratowniczej.

Ostatnim razem siedział tu w zimie, w wieczór wyjazdu Bajby.

Odwioził ją na lotnisko Sturup. Było już ciemno, wiał porywisty wiatr i wirujące płatki śniegu tańczyły w świetle reflektorów. Nie zamienili ze sobą ani słowa. Kiedy znikła za okienkiem kontroli paszportów, wrócił do Ystadu i usiadł na tej ławce. Wiał zimny wiatr. Siedział i marzył. Wiedział, że to już koniec i że więcej jej nie zobaczy. Ich rozstanie było ostateczne.

Przyjechała do Ystadu w grudniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku, krótko po śmierci jego ojca. Właśnie zakończył śledztwo, jedno z trudniejszych w swojej policyjnej karierze. Ale już jesienią, po raz pierwszy od wielu lat, zaczął robić plany na przyszłość. Postanowił wyprowadzić się z Mariagatan, przenieść na wieś. Kupić psa. Odwiedził nawet hodowlę labradorów. A najważniejsze, że chciał być z Bajbą. Przyjechała do Ystadu na święta Bożego Narodzenia. Wallander spostrzegł, że Linda i ona natychmiast się polubiły. Na początku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku, na kilka dni przed jej powrotem do Rygi, prowadzili poważne rozmowy na temat wspólnej przyszłości. Być może już latem mogłaby na dobre przeprowadzić się do Szwecji. Rozglądali się za domem. Wiele razy jeździli oglądać niewielkie gospodarstwo pod Svenstorpem. Pewnego marcowego dnia, a raczej wieczoru – Wallander już spał – zatelefonowała z Rygi, że się waha. Nie chciała wychodzić za męża, nie chciała przeprowadzać się do Szwecji. W każdym razie jeszcze nie teraz. Kilka dni później szarpany niepokojem Wallander poleciał do

Rygi. Liczył, że ją przekona. Skończyło się na długiej i ostrej kłótni. Po raz pierwszy się posprzeczali. W rezultacie nie odzywali się do siebie przez ponad miesiąc. Potem Wallander zadzwonił do niej i postanowili, że latem przyjedzie na Łotwę. Spędzili dwa letnie tygodnie nad Zatoką Ryską, w zapuszczonym domu, który odstąpił im kolega Bajby z uniwersytetu. Chodzili na długie spacery po plaży. Wallander, nauczony poprzednim doświadczeniem, ostrożnie czekał, aż sama podejmie temat przyszłości. Kiedy w końcu zaczęła mówić, jej słowa brzmiały ogólnikowo i wymijająco. Nie teraz, jeszcze nie. Dlaczego nie może być tak jak dotychczas? Wallander wrócił do Szwecji przygnębiony i nadal nie wiedział, co będzie dalej. Minęła jesień i ani razu się nie widzieli. Choć snuli plany i roztrząsali rozmaite warianty, do spotkania jednak nie doszło. Wallander stał się podejrzliwy. Czy w Rydze nie pojawił się przypadkiem inny mężczyzna, o którym nie miał pojęcia? Często, powodowany zazdrością, dzwonił do niej w środku nocy. Przynajmniej dwa razy wydawało mu się, że ktoś był w mieszkaniu, choć zapewniała, że to nieprawda.

Na święta Bożego Narodzenia przyjechała do Ystadu. Tym razem Linda spędziła z nimi tylko Wigilię. Potem wybrała się z przyjaciółmi do Szkocji. I wtedy, w kilka dni po Nowym Roku, Bajba wyznała, że nie może sobie wyobrazić życia w Szwecji. Długo się wahała. Ale teraz już jest pewna. Nie chce rezygnować z pracy na uniwersytecie. Co może robić w Szwecji? W Ystadzie? W najlepszym razie zostanie tłumaczem. To wszystko. Wallander bez powodzenia usiłował ją przekonać; wkrótce się poddał. Nie mówili tego otwarcie, ale oboje wiedzieli, że ich związek ma się ku końcowi. Po czterech latach ciągle nie mieli widoków na wspólną przyszłość. Wallander odwiózł ją na Sturup, patrzył, jak znika za stanowiskiem kontroli paszportów, a potem siedział w zimowy wieczór na pokrytej lodem ławce przy budynku ratowniczej służby morskiej. Był przybity, czuł się bardziej opuszczony niż kiedykolwiek. Ale gdzieś w głębi budziło się w nim inne uczucie. Uczucie ulgi. Przynajmniej nie będzie dłużej żył w niepewności.

Z portu wypłynęła motorówka. Wallander wstał. Znów musiał skorzystać z toalety.

Od czasu do czasu rozmawiali ze sobą przez telefon. Później i to się urwało. Od ostatniej rozmowy minęło już ponad pół roku. Któregoś dnia podczas przechadzki w Visby Linda zapytała, czy rozstanie z Bajbą jest ostateczne.

- Tak - odparł. - To już koniec.

Czekała, że powie coś więcej.

- Widocznie tak musiało być - dodał. - Sądzę, że oboje się przed tym broniliśmy. Ale to było nieuniknione.

Wszedł do baru. Skinął głową kelnerce i wszedł do toalety.

Potem udał się spacerem na Mariagatan, wsiadł do samochodu i pojechał w kierunku szosy wylotowej na Malmö. Zanim wysiadł przy supermarkecie, w którym zwykle robił zakupy, zrobił listę sprawunków. W sklepie, chodząc z wózkiem między półkami, nie mógł odnaleźć kartki. Nie chciało mu się wracać do samochodu. Była już prawie czwarta, kiedy wstawił zakupy do lodówki i spiżarki. Położył się na kanapie, by poczytać gazetę. Prawie natychmiast zasnął. Ocknął się gwałtownie godzinę później.

Miał sen.

Śniło mu się, że jest z ojcem w Rzymie. Był z nimi Rydberg. I jacyś mali, karłowaci ludzie, którzy zawzięcie szczypali ich po nogach.

Wallander usiadł na kanapie.

Śnią mi się zmarli, pomyślał. Co to znaczy?

Ojciec nie żyje, a śni mi się prawie co noc. A teraz jeszcze Rydberg. Dawny kolega i przyjaciel. Ten, który nauczył mnie wszystkiego, co dzisiaj umiem. Nie żyje już od pięciu lat.

Wyszedł na balkon. Nadal było ciepło i bezwietrznie. Na horyzoncie zbierały się chmury.

Nagle dotarło do niego z całą bolesną ostrością, jak bardzo jest samotny. Nie miał właściwie żadnych bliskich, z wyjątkiem Lindy, którą rzadko widywał. Przebywał tylko z kolegami z pracy. Ale nie utrzymywał z nimi kontaktów towarzyskich.

Udał się do łazienki i przemył twarz. Spojrzał w lustro. Był opalony. Jednak spod opalenizny prześwitywało zmęczenie. Lewe oko nabiegło krwią. Linia włosów na czole znów się trochę cofnęła.

Stanął na wadze. Parę kilo mniej niż na początku lata. Ale ciągle zbyt dużo. Zadzwoił telefon. Podniósł słuchawkę. Dzwoniła Gertruda.

- Chciałam powiedzieć, że już jestem w Rynge i miałam dobrą podróż.

- Myślałem o tobie - odparł Wallander. - Powinienem być chyba zostać.

- Potrzebowałam trochę побыć sama ze wspomnieniami. A tu będzie mi dobrze. Lubimy się z siostrą. Zawsze się lubiliśmy.

- Wpadnę do was za tydzień.

Odłożył słuchawkę. Telefon znów się odezwał. Tym razem dzwoniła koleżanka z pracy, Ann-Britt Höglund.

- Chciałam tylko spytać, jak poszło - powiedziała.

- Z czym?

- Nie byłeś dziś umówiony z agentem?

Wallander przypomniał sobie, że napomknął o tym poprzedniego dnia.

- Wszystko w porządku. Możesz kupić dom za trzysta tysięcy.

- Nawet go nie widziałam - odparła.

- To dziwne uczucie. Stoi pusty. Gertruda się wyprowadziła. Ktoś go kupi. Może na dom letniskowy. Zamieszkają tam inni ludzie. I nic nie będą wiedzieli o moim ojcu.

- W każdym domu straszy - powiedziała. - Oprócz nowo wybudowanych.

- Zapach terpentyny będzie się długo utrzymywał. Kiedy i on zniknie, nic już nie będzie przypominało ludzi, którzy tam kiedyś mieszkali.

- To brzmi smętnie.

- Ale prawdziwie. Do zobaczenia jutro. Dziękuję za telefon.

Wallander poszedł do kuchni napić się wody. Miło ze strony Ann-Britt, że pamiętała. Jemu by nigdy nie przyszło do głowy, żeby zadzwonić w podobnej sytuacji.

Dochodziła już siódma. Usmażył sobie kielbasę z ziemniakami. Jadł przed telewizorem, trzymając talerz na kolanach. Zmieniał kanały, ale nic go nie zainteresowało. Po jedzeniu wyszedł na balkon z filiżanką kawy. Jak tylko zaszło słońce, ciepło się ulotniło. Wszedł do mieszkania.

Resztę wieczoru spędził na przeglądaniu rzeczy, które przywiózł ze sobą z Löderupu.

Na dnie jednego z kartonów leżała brązowa koperta. Otworzył ją i ujrzał kilka starych, wyblakłych fotografii. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek je widział. Na jednej z nich – miał może cztery lub pięć lat – siedział na masce dużego, amerykańskiego auta. Obok stał ojciec, podtrzymując go, by nie spadł.

Wallander poszedł do kuchni i wyjął szkło powiększające z kuchennej szuflady.

Uśmiechamy się, pomyślał. Patrząc prosto w obiektyw i bijąc ze mnie duma. Obwoźny handlarz obrazów, który za psie pieniądze kupował obrazy ojca, pozwolił mi usiąść na masce swojego wozu. Ojciec też się uśmiecha. Ale patrzy na mnie.

Długo siedział, wpatrując się w zdjęcie. Przywoływało ono dawno zamkniętą na cztery spusty, niedostępną rzeczywistość. Niegdyś, dawno temu, miał z ojcem dobre stosunki. Wszystko się zmieniło, kiedy postanowił zostać policjantem. W ostatnich latach życia ojca starali się odnaleźć uczucie dawnej bliskości.

Nie udało nam się cofnąć tak daleko, pomyślał Wallander. Do uśmiechu, z którym siedzę na masce błyszczącego buicka. Zbliżyliśmy się do siebie w Rzymie. Ale nie do końca.

Wallander przymocował pinezką zdjęcie na kuchennych drzwiach. Potem ponownie wyszedł na balkon. Chmury podpływały bliżej. Usiadł przed telewizorem i obejrzał końcówkę starego filmu.

Położył się około północy.

Nazajutrz ma się spotkać ze Svedbergiem i Martinssonem. Potem wizyta u lekarza.

Długo leżał w ciemności i nie mógł zasnąć.

Dwa lata wcześniej marzył o przeprowadzce z Mariagatan. Miał kupić psa. I żyć z Bajbą.

Nic z tego nie wyszło. Nie ma Bajby, domu ani psa. Wszystko jest po staremu.

Musi się coś wydarzyć, pomyślał. Coś, co da mi siłę i nadzieję na przyszłość.

Było po trzeciej, kiedy wreszcie zasnął.

Wczesnym rankiem chmury się rozproszyły.

Wallander obudził się już o szóstej. Znowu śnił mu się ojciec. W podświadomości przemykały urywane i chaotyczne obrazy. Był dorosłym i dzieckiem w jednej osobie. Nie mógł się w tym doszukać żadnego sensu. Sen przypominał niewyraźne kontury statku w oparach gęstej mgły.

Wziął prysznic i napił się kawy. Na ulicy poczuł letnie ciepło. Wyjątkowo nie było wiatru. Wsiadł do auta i pojechał do komendy. Jak zwykle przed siódmą, korytarze świeciły pustką. Nalał sobie kawy i poszedł do pokoju. Spojrzał na stół. Na szczęście tym razem nie był zawalony teczkami. Już nie pamiętał, kiedy ostatnio miał tak niedużo roboty. Od wielu lat miał wrażenie, że ilość pracy rośnie w tym samym tempie, w jakim maleją nakłady na policję. Dochodzenia dreptały w miejscu albo je odfajkowywano. W wielu przypadkach, gdy wstępne postępowanie świadczyło o popełnieniu przestępstwa, nie podejmowano dalszych kroków. Wallander był zdania, że tak być nie musi. Gdyby tylko mieli więcej czasu. I więcej ludzi.

Niektórzy uważali, że przestępstwo się opłaca. Jeżeli tak było rzeczywiście, nie wiadomo, jak i kiedy do tego doszło. Jednak już dość dawno stwierdzono, że przestępczość w Szwecji się zakorzenia. Ci, którzy popełniali wyrafinowane przekręty finansowe, żyli jakby w strefie ochronnej. W tej dziedzinie państwo prawa najwyraźniej skapitulowało.

Wallander często poruszał ten temat z kolegami z pracy. Wiedział, że z niepokojem oczekiwali przyszłości. Gertruda też o tym mówiła. Jak również sąsiedzi spotykani w pralni.

Zdawał sobie sprawę, że ich niepokój jest uzasadniony. Nic jednak nie zapowiadało radykalnych zmian. Przeciwnie, na sądy i policję przeznaczano coraz mniej środków.

Wallander zdjął kurtkę i stanął w otwartym oknie; patrzył na starą wieżę ciśnień. W ciągu ostatnich lat w Szwecji zaczęły się tworzyć różne grupy samoobrony. Gwardia Obywatelska. On od dawna się tego obawiał. Kiedy oficjalny wymiar sprawiedliwości przestaje funkcjonować, dochodzi do głosu

prawo linczu. Ludzie sami zaczynają wymierzać sprawiedliwość i uważają to za naturalne.

Stał w oknie i zastanawiał się, jaka ilość nielegalnej broni krąży po kraju. Myślał o tym, co będzie za parę lat.

Usiadł za biurkiem. Przewertował kilka dokumentów z poprzedniego dnia. Pierwszy dotyczył koordynacji ogólnokrajowych działań w związku ze wzrastającą liczbą fałszywych kart płatniczych. Wallander przejrzał pobieżnie informację o fabrykach produkujących fałszywe karty, odkrytych w paru azjatyckich krajach.

Drugi dokument był końcową oceną projektu rozpoczętego w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku i zakończonym latem. Dotyczył stosowania pieprzowego sprayu. Lokalna policja mogła w pewnych okolicznościach dostarczać spray kobietom, które czuły się zagrożone. Po dwukrotnym przeczytaniu tekstu Wallander nadal nie był pewien wyników podjętej akcji. Wzruszył ramionami i włożył papiery do kosza na śmieci. Drzwi pokoju były uchylone – słyszał głosy w korytarzu. Śmiech kobiety. Uśmiechnął się. To szefowa, Lisa Holgersson. Przed kilku laty przyszła na miejsce Björka. Wielu kolegów Wallandera nieufnie przyjęło obecność kobiety w ścisłym kierownictwie. Ale Wallander bardzo szybko nabral dla niej szacunku. I żywił go do tej pory.

Było wpół do ósmej. Zadzwonił telefon. Odezwała się Ebba z recepcji.

- Jak poszło? - spytała.

Wallander domyślił się, że miała na myśli poprzedni dzień.

- Dom jeszcze niesprzedany. Ale wszystko jest na dobrej drodze.

- Chciałam zapytać, czy możesz przyjąć wizytę studyjną o wpół do jedenastej - ciągnęła.

- Wizytę studyjną? Latem?

- To grupa emerytowanych oficerów marynarki. Raz do roku, w sierpniu, zjeżdżają do Skanii. Mają jakieś stowarzyszenie. Nazywa się „Wilki Morskie”.

Wallander przypomniał sobie wizytę u lekarza.

- Musisz poprosić kogoś innego - odparł. - Między wpół do jedenastej a dwunastą mnie nie będzie.

- Porozmawiam z Ann-Britt - powiedziała Ebba. - Kto wie, może dawnym oficerom marynarki przyjemnie będzie spotkać się z kobietą.

- Albo i nie - odparł Wallander.

Dochodziła ósma, a on jeszcze nie zabrał się do pracy. Kiwał się na krześle albo wyglądał przez okno. W całym ciele czuł zmęczenie. Niepokoił się, co powie lekarz. Czy zmęczenie i powracające kurcze nie były oznaką jakiejś poważnej choroby?

Wstał i przeszedł do sali zebrań. Martinsson już tam był. Opalony i świeżo ostrzyżony. Wallander pamiętał, jak dwa lata wcześniej chciał rzucić służbę. Ktoś napadł na jego córkę na szkolnym podwórku, bo miała ojca policjanta. Ale został. Dla Wallandera Martinsson - od czasu kiedy jako nowicjusz rozpoczął służbę w komendzie - na zawsze już pozostał najmłodszy. Mimo że teraz należał w Ystadzie do policjantów z najdłuższym stażem.

Usiedli i rozmawiali o pogodzie. Było pięć po ósmej.

- Gdzie, do diabła, podziewa się Svedberg? - zapytał Martinsson.

Jego zdziwienie było uzasadnione. Svedberg był znany z punktualności.

- Rozmawiałeś z nim wczoraj?

- Szukałem go, ale już wyszedł. Zostawiłem mu wiadomość na automatycznej sekretarce.

Wallander wskazał na telefon.

- Może zadzwoń jeszcze raz.

Martinsson wybrał numer.

- Gdzie się podziewasz? Czekamy na ciebie - powiedział.

Odłożył słuchawkę.

- Znowu sekretarka.

- Pewnie jest w drodze - zauważył Wallander. - Może zaczniemy bez niego.

Martinsson przeglądał stos papierów. Potem podsunął Wallanderowi kartkę pocztową. Było to zdjęcie lotnicze śródmieścia Wiednia.

- Ta kartka leżała we wtorek, szóstego sierpnia w skrzynce rodziny Hillströmów. Jak widzisz, Astrid Hillström pisze, że

mają zamiar zostać trochę dłużej, niż planowali. Wszystko jest w porządku. Pozdrawiają. Astrid prosi matkę, żeby zadzwoniła do pozostałych rodziców i przekazała im, że czują się dobrze.

Wallander przeczytał kartkę. Litery przypominały pismo Lindy, były zaokrąglone.

Odłożył pocztówkę.

- Więc Eva Hillström tu była?

- Wpadła jak burza do mojego pokoju. Wiemy, że jest nerwowa, mieliśmy z nią wcześniej do czynienia. Ale tym razem było znacznie gorzej. Ona się po prostu boi. Jest pewna, że ma rację - odpowiedział Martinsson.

- Rację?

- Że coś się stało i że kartki nie pisała jej córka.

- Chodzi jej o charakter pisma? O podpis? - spytał Wallander po namyśle.

- Pismo wygląda na jej, ale matka twierdzi, że łatwo je podrobić, tak samo jak podpis. Zgadzam się z nią.

Wallander wziął do ręki notes i pióro. Podrobienie pisma i podpisu Astrid Hillström zajęło mu niespełna minutę. Odsunął notes.

- Eva Hillström martwi się o córkę i zwraca się do nas. To zrozumiałe. Skoro nie charakter pisma lub podpis są przyczyną jej niepokoju, to w takim razie co?

- Nie potrafiła powiedzieć.

- Zadałeś jej takie pytanie?

- Czy chodzi o dobór słów? Sposób formułowania zdań? Pytałem o wszystko. Nie umie powiedzieć. A jednak jest przekonana, że kartki nie napisała córka.

Wallander skrzywił się i pokręcił głową.

- Coś musi być na rzeczy.

Spojrzeni na siebie.

- Pamiętasz, co mówiłeś wczoraj? - powiedział Wallander.  
- Że sam zaczynasz się niepokoić.

Martinsson skinął głową.

- Coś tu się nie zgadza - odrzekł. - Tylko nie wiem co.

- Postaw pytanie inaczej - mówił dalej Wallander. - Załóżmy, że nie udali się w niezaplanowaną podróż. Co mogło

się stać? I kto pisze pocztówki? Wiemy, że zabrali samochody i paszporty. Sprawdziliśmy to.

- Pewnie się myślę - odparł Martinsson. - Może mnie Eva Hillström zaraziła niepokojem.

- To normalne, że rodzice martwią się o dzieci - stwierdził Wallander. - Czy wiesz, ile razy zachodziłem w głowę, co Linda wyczynia, kiedy przychodziły pocztówki z najdziwniejszych zakątków świata?

- Co robimy? - zapytał Martinsson.

- Obserwujemy rozwój sytuacji. Wróćmy jeszcze do faktów, może coś przegapiliśmy.

Martinsson omówił wydarzenia. Jak zwykle jasno i precyzyjnie. Przy jakiejś okazji Ann-Britt Höglund zapytała Wallandera, czy nie sądzi, że Martinsson od niego nauczył się sposobu referowania.

Przebieg wydarzeń był prosty i przejrzysty. Troje młodych ludzi, w wieku od dwudziestu do dwudziestu trzech lat, postanowiło wspólnie obchodzić noc świętojańską. Jeden z nich, Martin Boge, mieszkał w Simrishamn, dwie pozostałe - Lena Norman i Astrid Hillström - w zachodniej części Ystadu. Przyjaźnili się od dawna i spędzali razem dużo czasu. Byli dziećmi zamożnych rodziców. Lena Norman studiowała na uniwersytecie w Lundzie, pozostała dwójka dorywczo pracowała. Nigdy nie mieli do czynienia z wymiarem sprawiedliwości ani narkotykami. Astrid Hillström i Martin Boge nadal mieszkali w domu; Lena Norman w akademiku w Lundzie. Nikomu nie mówili, gdzie będą spędzać noc świętojańską. Rodzice pytali jedni drugich, rozpytywali się w kręgu ich przyjaciół. Ale nikt nie wiedział. Nie było w tym nic niezwykłego. Często bywali tajemniczy i nie zawsze zdradzali swoje plany. W dniu zniknięcia wyjechali dwoma samochodami: volvo i toyotą. Samochody przepadły, tak samo jak oni, dwudziestego pierwszego czerwca po południu. Od tamtej pory nikt ich nie widział. Pierwsza pocztówka nosiła stempel z Hamburga z datą dwudziestego szóstego czerwca. Donosili, że zamierzają podróżować po Europie. Kilka tygodni później Astrid Hillström przysłała kartkę z Paryża. Byli w drodze na południe. A teraz znów się odezwała.

Martinsson umilkł.

- Co właściwie mogło się stać? – zapytał po namyśle Wallander.

- Nie wiem.

- Czy istnieje jakikolwiek powód, by ich zniknięcie uznać za podejrzone?

- Właściwie nie.

Wallander odchylił się na krześle.

- Jedyne, co mamy, to przecucie Evy Hillström. Niepokój matki.

- Która twierdzi, że kartki nie pisała córka.

Wallander skinął głową.

- Uważa, że mamy ich szukać?

- Nie. Ale chce, żebyśmy coś zrobili. To są jej słowa: „Policja musi coś zrobić”.

- Co innego możemy zrobić oprócz przyjęcia zgłoszenia o zaginięciu? Przekazaliśmy już nazwiska do komputerowego rejestru poszukiwanych.

Zamilkli. Była za piętnaście dziewiąta. Spojrzał pytająco na Martinssona.

- Svedberg?

Martinsson podniósł słuchawkę i wybrał numer Svedberga. Po chwili ją odłożył.

- Znowu sekretarka.

Wallander przesunął pocztówkę w stronę Martinssona.

- Chyba nic więcej nie wymyślimy. Mam zamiar sam porozmawiać z Evą Hillström. Potem zdecydujemy, co dalej. Nie ma powodu wszczynać poszukiwań. W każdym razie nie teraz.

Martinsson zapisał jej numer na kartce papieru.

- Jest rewizorem – powiedział.

- A mąż? Ojciec Astrid?

- Są rozwiedzeni. Zdaje się, że raz tu dzwonił. Zaraz po święcie letniej nocy.

Wallander wstał. Martinsson zgarnął papiery. Wyszli z sali zebrań.

- Może Svedberg zrobił to co ja. Wziął wolny dzień. A my nic nie wiemy.

- On już jest po urlopie - odparł stanowczo Martinsson.  
- Wykorzystał go co do dnia.

Wallander spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Skąd wiesz? Svedberg nie jest zbyt rozmowny.

- Pytałem, czy nie chciałby się ze mną zamienić na jeden tydzień. Ale postanowił raz wreszcie wykorzystać cały urlop za jednym zamachem.

- Chyba nigdy wcześniej tego nie robił - stwierdził Wallander.

Rozstali się przed pokojem Martinssona. Wallander poszedł do siebie. Usiadł za biurkiem i zadzwonił pod pierwszy numer. Poznał w słuchawce głos Evy Hillström. Umówili się po południu w komendzie.

- Czy coś się stało? - spytała.

- Nie - odparł Wallander. - Nic. Poza tym, że ja również chciałbym się z panią zobaczyć.

Wallander skończył rozmowę. Właśnie wybierał się po kawę, gdy w drzwiach ukazała się Ann-Britt. Mimo że niedawno wróciła z urlopu, była jak zwykle blada. Przyszło mu na myśl, że bladeść odzwierciedla stan jej ducha. Do tej pory nie przyszła do siebie po ciężkim postrzale, którego ofiarą padła dwa lata wcześniej. Fizycznie wróciła do zdrowia, ale Wallander nie był pewien, jak naprawdę się czuje. Nieraz miał uczucie, że cierpi na chroniczny lęk. Wcale go to nie dziwiło. Sam niemal co dzień myślał o tym, jak kiedyś dostał nożem. A minęło już ponad dwadzieścia lat.

- Przeszkadzam?

Wallander wskazał ręką na fotel dla interesantów. Usiadła.

- Widziałaś może Svedberga? - spytał.

Pokręciła głową.

- Mieliśmy się z nim spotkać. Martinsson i ja. Ale się nie zjawił.

- On przecież nie opuszcza żadnego zebrania?

- Otóż to. Ale nie przyszedł.

- Dzwoniliście do niego do domu? Może jest chory?

- Martinsson wielokrotnie nagrywał się na automatyczną sekretarkę. Zresztą Svedberg nigdy nie choruje.

Przez chwilę zastanawiali się w milczeniu, gdzie Svedberg mógł się podziać.

- Chciałaś czegoś ode mnie? – zapytał po chwili.

- Pamiętasz szajkę, która przemycała samochody do krajów wschodniej Europy?

- Jak mógłbym zapomnieć? Ślęczałem nad tym paskudztwem przez dwa lata, dopóki jej nie rozbiliśmy i nie zamknęliśmy przywódców. W każdym razie tych w Szwecji.

- Wygląda na to, że znów zaczęli działać.

- Przywódcy przecież siedzą?

- Pewnie znaleźli się inni, którzy skorzystali z okazji i zajęli ich miejsce. Tym razem baza nie znajduje się w Göteborgu. Ślady prowadzą między innymi do Lycksele.

Wallander był zaskoczony.

- To przecież, do diabła, w Laponii?

- Przy dzisiejszej komunikacji, gdziekolwiek jesteś, znajdujesz się w samym środku Szwecji.

Wallander pokręcił głową. Wiedział jednak, że Ann-Britt ma rację. Zorganizowana przestępczość bardzo szybko przyswaja sobie nowoczesną technologię.

- Nie mam siły zaczynać od początku – powiedział. – Nie chcę już słyszeć o przemyśle samochodów.

- Zajmę się tym. Lisa mnie prosiła. Domyśla się, że masz już dosyć zaginionych aut. Chciałabym tylko, żebyś mi zreferował sprawę. I przy okazji dał kilka dobrych rad.

Umówili się na następny dzień, a potem poszli do stołówki na kawę. Usiedli przy otwartym oknie.

- Jak było na urlopie? – spytał.

W jej oczach nagle zaślniły łzy. Wallander chciał coś powiedzieć, ale powstrzymała go ruchem ręki. Po chwili się opanowała.

- Nie za dobrze. Ale nie chcę o tym mówić.

Wzięła kubek z kawą i szybko się podniosła. Wallander patrzył, jak odchodzi. Siedział, zastanawiając się nad jej reakcją.

Niewiele o sobie wiemy, pomyślał. Oni o mnie, a ja o nich. Pracujemy razem, nieraz przez całe zawodowe życie. Ale co właściwie wiemy o sobie? Nic.

Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze dużo czasu. Postanowił wyjść z komendy i przejść się na ulicę Kapellgatan, gdzie przyjmował lekarz.

Był niespokojny i przygnębiony.

Lekarz okazał się młody. Wallander był u niego pierwszy raz. Nazywał się Göransson i pochodził z północy Szwecji. Wallander opisał swoje dolegliwości. Zmęczenie, pragnienie, częste oddawanie moczu. Wspomniał również o powtarzających się kurczach.

Zaskoczyła go szybka reakcja lekarza.

- To wskazuje na cukier - powiedział.

- Cukier?

- Tak, to objawy cukrzycy.

Wallander przez moment znieruchomiał. To mu nie przyszło do głowy.

- Odnoszę wrażenie, że pan za dużo waży - oświadczył lekarz. - Za chwilę się zresztą przekonamy, czy tak jest. Najpierw pana osłucham. Jak z pana ciśnieniem?

Wallander nie wiedział. Zdjął koszulę i położył się na leżance.

Serce miał w porządku, ale ciśnienie za wysokie: sto siedemdziesiąt na sto pięć. Stał na wadze - pokazała dziewięćdziesiąt dwa kilogramy. Lekarz posłał go na badanie moczu i pobranie krwi. Pielęgniarka się uśmiechała. Wallander pomyślał, że przypomina jego siostrę, Kristinę.

Wrócił do lekarza.

- Poziom cukru powinien mieć wysokość od dwu i pół do sześciu i czterech dziesiątych milimola na litr - powiedział Göransson. - U pana jest piętnaście i trzy dziesiąte, czyli o wiele za dużo.

Wallanderowi zrobiło się niedobrze.

- To tłumaczy zmęczenie - kontynuował Göransson. - A także pragnienie, kurcze w łydkach i częste bieganie do toalety.

- Czy jest na to lekarstwo? - zapytał Wallander

- Zacniemy od zmiany sposobu odżywiania - powiedział Göransson. - No i musimy obniżyć panu ciśnienie. Dużo się pan rusza?

- Nie.

- Trzeba od tego zacząć. Dieta i ruch. Jeśli to nie pomoże, spróbujemy inaczej. Przy takim poziomie cukru wysiada cały organizm.

Cukrzyk, pomyślał przerażony Wallander.

Göransson zauważył jego niepokój.

- Doprowadzimy pana do porządku - powiedział. - Od tego się nie umiera. W każdym razie jeszcze nie w tym stadium.

Zrobił mu dodatkowe badania krwi. Miał stosować zaleconą dietę i pokazać się znowu w poniedziałek. Wyszedł od lekarza o wpół do dwunastej. Skierował się na Stary Cmentarz i usiadł na ławce. Nadal jeszcze nie w pełni dotarły do niego słowa lekarza. Odszukał okulary i zaczął czytać opis diety.

O wpół do pierwszej był z powrotem w komendzie. W recepcji czekało na niego kilka wiadomości. Nic bardzo ważnego. W korytarzu minął Hanssona.

- Czy Svedberg się pokazał? - zapytał Wallander.

- A co? Nie ma go?

Wallander nie odpowiedział. Eva Hillström miała przyjść po pierwszej. Zapukał do uchylonych drzwi pokoju Martinsona. Nikogo nie było. Na biurku leżała cienka teczka z materiałami z porannego zebrania. Wallander wziął ją i poszedł do siebie. Pośpiesznie przerzucił papiery. Przyjrzał się trzem pocztówkom, ale nie mógł się skupić. Przez cały czas myślał o rozmowie z lekarzem.

Ebba zadzwoniła z recepcji, że jest już Eva Hillström. Wallander po nią wyszedł. Grupa żwawych starszych panów właśnie opuszczała budynek. Wallander domyślił się, że to oficerowie marynarki po skończonym zwiedzaniu komendy.

Eva Hillström była wysoka i chuda. Miała czujne spojrzenie. Już przy pierwszym spotkaniu Wallander odniósł wrażenie, że jest lękliwa i zawsze spodziewa się najgorszego. Przywitani się i poszli do pokoju. Po drodze zaproponował jej kawę.

- Nie piję kawy - odparła. - Szkodzi mi na żołądek.

Usiadła na krześle, nie spuszczając z niego oczu. Spodziewa się wiadomości, pomyślał Wallander. I sądzi, że będzie zła. Zajął miejsce za biurkiem.

- Wczoraj rozmawiała pani z moim kolegą - zaczął. - Przyniosła pani pocztówkę, która przysła kilka dni temu z Wiednia, podpisaną przez pani córkę, Astrid. Twierdzi pani, że to nie ona pisała. Czy tak?

- Tak.

Odpowiedź brzmiała bardzo stanowczo.

- Według Martinssona, nie potrafi pani wyjaśnić dlaczego.

- Zgadza się, nie potrafię.

Wallander sięgnął po pocztówkę i położył przed nią.

- Powiedziała pani, że pismo i podpis córki łatwo podrobić.

- Może pan spróbować.

- Już to zrobiłem. I zgadzam się z panią. Jej pismo nie jest zbyt trudno podrobić.

- Więc czemu pan pyta?

Wallander chwilę się jej przyglądał. Martinsson miał rację. Była spięta i zżerana niepokojem.

- Zadaję pytania, żeby pewne rzeczy potwierdzić - powiedział. - Czasami to konieczne.

Skinęła niecierpliwie głową.

- Wciąż nie mamy podstaw, aby przypuszczać, że kartki nie pisała Astrid - mówił dalej Wallander. - Może coś innego wzbudziło pani podejrzenie?

- Nie. Ale wiem, że mam rację.

- Rację?

- Że to nie ona napisała tę kartkę. Ani te, które przysły wcześniej.

Nagle podniosła się z krzesła i zaczęła krzyczeć. Wallander był całkowicie nieprzygotowany na tak gwałtowną reakcję. Pochyliła się nad stołem i chwyciwszy go za ramiona, potrząsała nim. Nie przestawała krzyczeć.

- Dlaczego policja nic nie robi? Na pewno coś się stało!

Wallander uwolnił się z uścisku i poderwał z krzesła.

- Myślę, że powinna się pani opanować - powiedział.

Ale Eva Hillström krzyczała nadal. Wallander zastanawiał się, co pomyślał przechodzący korytarzem ludzie. Wyszedł zza biurka i mocno chwycił ją za ramiona, siłą posadził na krześle i chwilę przytrzymał. Wybuch minął równie szybko, jak

nastąpił. Wallander powoli rozluźnił uścisk. Potem wrócił na swoje miejsce. Eva Hillström wbiła wzrok w ziemię. Wallander czekał. Był do głębi poruszony. W jej reakcjach i niezbitych pewności było coś, co zaczynało mu się udzielać.

- Co się stało, według pani? - zapytał po chwili.

- Nie wiem.

- Nic nie wskazuje na to, że zdarzył się wypadek. Albo cokolwiek innego.

Spojrzała na Wallandera.

- Astrid nieraz wyjeżdżała z przyjaciółmi - mówił dalej.

- Może nie na tak długo jak tym razem. Zabrali samochody, paszporty. Wszystko to już raz sprawdziliśmy. Ponadto Astrid i jej przyjaciele są w wieku, kiedy się idzie za impulsem. Nie planuje się z góry. Sam mam córkę o parę lat starszą od Astrid. Wiem, jak to jest.

- Ja i tak wiem swoje - odparła. - Może często się boje na wyrost, ale tym razem coś jest nie tak.

- Inni nie dzielą pani obaw? Rodzice Martina Boge i Leny Norman?

- Nie rozumiem ich.

- Traktujemy poważnie pani niepokój. To nasz obowiązek. Mogę obiecać, że raz jeszcze rozważymy wszczęcie poszukiwań.

Miał wrażenie, że jego słowa na chwilę ją uspokoiły. Ale po chwili lęk powrócił. Malował się na jej otwartej twarzy.

Wallanderowi było jej żal. Zakończyli rozmowę. Podniosła się. Odprowadził ją do recepcji.

- Przykro mi, że straciłam panowanie nad sobą - powiedziała.

- Rozumiem pani niepokój - odrzekł.

Podziała mu szybko rękę i wyszła.

Wallander wracał do pokoju. Martinsson wysunął głowę przez drzwi i patrzył na niego z zaciekawieniem.

- Co tam się w środku działo?

- Jest rzeczywiście wystraszona - odpowiedział Wallander. - To autentyczny lęk. Musimy jakoś na to zareagować. Ale nie wiem jak. - Spojrzał w zadumie na Martinssona. - Chciałbym omówić to jutro w większym składzie. Ze wszyst-

kimi, którzy mają czas. Trzeba podjąć decyzję, czy mamy wszcząć poszukiwania. Coś mnie w tej historii martwi.

Martinsson skinął głową.

- Widziałeś Svedberga? - zapytał.

- Jeszcze się nie odezwał?

- Nie. Odpowiada tylko sekretarka.

Wallander się skrzywił.

- To do niego niepodobne.

- Spróbuję jeszcze raz - obiecał Martinsson.

Wallander poszedł do swojego pokoju. Zamknął drzwi i zadzwonił do Ebby.

- Nie łącz mnie z nikim przez najbliższe pół godziny. Czy Svedberg się przypadkiem nie odzywał?

- Nie. A miał się odezwać?

- Tak tylko pytam.

Wallander oparł nogi na stole. Był zmęczony i miał sucho w ustach. Po chwili powziął decyzję. Włożył kurtkę i opuścił pokój.

- Wychodzę - rzucił do Ebby. - Będę z powrotem za godzinę lub dwie.

Nadal było ciepło i bezwietrznie. Wallander udał się do miejskiej biblioteki, leżącej na Surbrunnsvägen. Z pewnym trudem odszukał na półkach dział medyczny. Wkrótce znalazł to, czego szukał. Książkę o cukrzycy. Usiadł przy stole, wyjął okulary i zaczął czytać. Po półtorej godziny miał już niejaki pojęcie o chorobie. Zrozumiał również, że sam jest sobie winien. Sposób odżywiania, brak ruchu i ustawiczne próby odchudzania, po których na nowo przybierał na wadze - wszystko się teraz mści.

Odstawił książkę na półkę. Ogarnęło go uczucie porażki i pogardy dla samego siebie. Tak dłużej być nie może, musi zmienić tryb życia.

Było wpół do piątej, kiedy powrócił do komendy. Na stole leżała kartka od Martinssona. Nie udało mu się skontaktować ze Svedbergiem. Wallander przejrzał raz jeszcze raport o zaginięciu młodych ludzi. Uważnie obejrzał pocztówki. Znów powróciło uczucie, że coś mu umknęło. Czego nie zauważył?

Czuł wzrastający niepokój. Wydawało mu się, że Eva Hillström ciągle siedzi na krześle dla interesantów.

Nagle zdał sobie sprawę z powagi sytuacji. To bardzo proste. Ona wie, że nie jej córka pisała tę kartkę. Nie ma znaczenia skąd. Wie i już. I to powinno wystarczyć.

Wallander wstał i podszedł do okna.

Młodym ludziom coś się przytrafiło.

Pytanie tylko, co.

### 3

Tego wieczoru Wallander postanowił rozpocząć nowe życie, przynajmniej w ograniczonym zakresie. Na kolację zjadł tylko chudy bulion i sałatę. Tak przejął się tym, żeby nic niewłaściwego nie wylądowało na talerzu, że kiedy przypomniał sobie o zamówionym na wieczór praniu, było już za późno.

Pocieszał się myślą, że nowa sytuacja ma swoje dobre strony. Zbyt wysoki poziom cukru we krwi nie jest przecież wyrokiem śmierci. Otrzymał jednak ostrzeżenie. Skoro chce nadal normalnie żyć, w jego życiu muszą nastąpić pewne zmiany. Niezbyt wielkie, niemniej dość zasadnicze. Po jedzeniu czuł się równie głodny jak przedtem. Zjadł jeszcze jednego pomidora. Później siedział przy kuchennym stole, usiłując ułożyć zestaw posiłków na najbliższe dni, na podstawie otrzymanej diety. Od jutra będzie chodził na piechotę do komendy, a w soboty i niedziele wyjeżdżał nad morze na długie spacery po plaży.

Przypomniał sobie, że chcieli kiedyś z Hanssonem grać w badminton. Może teraz nadeszła właściwa pora?

Była dziewiąta, kiedy wstał od stołu. Otworzył drzwi i wyszedł na balkon. Wiał lekki wiatr z południa. Ale nadal było ciepło.

Kanikuła.

W dole grupka młodzieży przechodziła ulicą. Wallander podążał za nimi wzrokiem. Nie mógł się skupić nad spisem posiłków i wykresami wagi. Po głowie chodziła mu Eva Hillström i jej niepokój. Straciła panowanie nad sobą i chwyciła

go za ramiona. W jej oczach malował się strach z powodu zniknięcia córki.

Zdarza się, że rodzice zupełnie nie znają swoich dzieci, pomyślał. Ale bywa również, że jedno z rodziców zna swoje dziecko najlepiej ze wszystkich. Coś mi mówi, że tak jest w przypadku Evy Hillström i jej córki.

Wszedł z powrotem do mieszkania. Drzwi balkonowe zostawił otwarte.

Nękało go uczucie, że coś przeoczył. Coś, co w jednej chwili ruszyłoby sprawę z miejsca i pozwoliłoby stwierdzić, czy niepokój Evy Hillström jest uzasadniony.

Poszedł do kuchni nastawić kawę. Podczas gdy grzała się woda, przetarł stół. Zadzwoił telefon. Dzwoniła Linda – z restauracji na Kungsholmen, gdzie pracowała. Zdziwił się. Sądził, że lokal jest czynny tylko w dzień.

– Właściciel wszystko pozmieniał – odparła na jego pytanie. – Zresztą wieczorami więcej zarabiam. Życie jest drogie.

W tle słychać było szmer głosów i brzęk naczyń. Pomyślał, że nie zna aktualnych planów Lindy. Kiedyś chciała zostać tapicerem. Potem zmieniła zdanie i zaczęła próbować sił jako aktorka. Pewnego dnia i to się skończyło.

Odgadywała jego myśli.

– Nie mam zamiaru przez całe życie być kelnerką. Ale okazuje się, że potrafię oszczędzać. Zimą wyruszam w podróż.

– Dokąd?

– Jeszcze nie wiem.

Wallander zrozumiał, że to nie pora na zasadnicze rozmowy. Wspomniał tylko, że Gertruda się wyprowadziła. A dom dziadka jest na sprzedaż.

– Żałuję, że go nie zachowaliśmy – odparła. – I żałuję, że nie mam dosyć pieniędzy, żeby go kupić.

Wallander domyślał się, co Linda czuje. Zawsze miała dobry kontakt z dziadkiem. Zdarzało się nawet, że bywał zazdrosny, widząc ich razem.

– Muszę kończyć. Chciałam tylko zapytać, co słychać.

– Wszystko w porządku. Byłem dziś u lekarza. Nic mi nie jest.

– Nawet nie mówił, że powinieneś schudnąć?

- Owszem, ale poza tym wszystko w porządku.
- No to trafiłeś na miłego lekarza. A jak twoje zmęczenie?

Przejrzała mnie na wylot, pomyślał bezradnie Wallander. Dlaczego nie powiem, jak jest? Że jestem na dobrej drodze do cukrzycy, może już nawet ją mam? Skąd to uczucie, że cierpię na wstydliwą chorobę?

- Nie jestem zmęczony. Tydzień na Gotlandii był wspaniały.

- Tak. Muszę już kończyć - powtórzyła. Jeśli chcesz do mnie dzwonić wieczorem, zapisz numer.

Zanotował numer w pamięci. Skończyli rozmowę.

Wallander przeszedł z kawą do pokoju i włączył telewizor. Ściszył dźwięk. Numer telefonu, który mu podała, zapisał w rogu gazety.

Pisał niewyraźnie. Nikt poza nim nie umiałby tego odczytać.

W tej samej chwili powróciła myśl, która dręczyła go w ciągu dnia. Odsunął filiżankę z kawą. Spojrzał na zegarek. Było piętnaście po dziewiątej. Zastanawiał się, czy dzwonić do Martinssona, czy poczekać do rana. Wreszcie podjął decyzję. Poszedł z książką telefoniczną do kuchni i usiadł przy stole. Znalazł cztery rodziny Normanów w samym mieście. Wallander pamiętał adres z dokumentów w teczce Martinssona. Lena Norman mieszkała z rodzicami na Kåringgatan, na północ od szpitala. Ojciec nazywał się Bertil Norman i miał tytuł „dyrektor”. Był właścicielem firmy dostarczającej grzejniki do prefabrykowanych domów.

Wybrał numer. Odebrała kobieta. Wallander się przedstawił, starając się być bardzo uprzejmy. Nie chciał jej przestraszyć. Wiedział, co oznacza telefon z policji. Szczególnie wieczorem.

- Czy mówię z matką Leny Norman?

- Nazywam się Lillemor Norman.

Wallander pamiętał jej imię.

- Mogłem zaczekać do jutra - ciągnął Wallander. - Ale jest coś, co chciałbym wyjaśnić. Niestety, policja pracuje w nietypowych godzinach.

Nie wydawała się zaniepokojona.

- W czym mogę pomóc? A może wolałby pan porozmawiać z mężem? Mam go zawołać? Odrabia matematykę z bratem Leny.

Wallander się zdziwił. Myślał, że w szkołach już nie zadają lekcji.

- Nie trzeba - powiedział. - Właściwie zależy mi na próbcie charakteru pisma Leny. Ma pani w domu jakieś jej listy?

- Przyszły tylko pocztówki. Myślałam, że policja o tym wie.

- Może jakiś inny list. Wcześniejszy.

- Do czego to panu potrzebne?

- To zwykła formalność. Porównujemy charaktery pisma. Nic ważnego.

- I w tej nieważnej sprawie policja dzwoni wieczorem?

Eva Hillström się boi, pomyślał Wallander. A Lillemor Norman jest podejrzliwa.

- Może mi pani pomóc?

- Mam wiele listów od Leny.

- Wystarczy jeden. Nawet pół strony.

- Poszukam. Czy ktoś po to przyjedzie?

- Miałem zamiar sam wpaść. Mogę być za dwadzieścia minut.

Wallander powrócił do książki telefonicznej. W Simrishamnie był tylko jeden Boge. Rewizor. Wallander wybrał numer i czekał z niecierpliwością. Już miał odkładać słuchawkę, kiedy ktoś odebrał.

- Klas Boge.

Głos w słuchawce był młody. Wallander doszedł do wniosku, że to brat Martina Boge. Przedstawił się.

- Czy rodzice są w domu?

- Jestem sam. Poszli na obiad z golfiarzami.

Wallander wahał się, czy mówić dalej. Ale chłopiec robił przytomne wrażenie.

- Dostałeś kiedyś list od brata? Który masz do tej pory?

- Nie tego lata.

- Może kiedyś wcześniej?

Chłopiec chwilę się zastanowił.

- Mam list z Ameryki, z ubiegłego roku.

- Pisany odręcznie?

- Tak.

Wallander się namyślał. Wsiąść w samochód i jechać do Simrishamn, czy zaczekać do następnego dnia?

- Po co panu list mojego brata?
- Chcę tylko spojrzeć na charakter pisma.
- Jeśli to pilne, mogę przefaksować.

Chłopak był bystry. Wallander podał mu numer faksu w komendzie.

- Chciałbym, żebyś poinformował o tym rodziców – powiedział.

- Mam nadzieję, że będę już spał, jak wrócę.

- Może powiesz jutro?

- List od Martina jest do mnie.

- Mimo to lepiej będzie, jak im powiesz – powtórzył cierpliwie Wallander.

- Martin i reszta będą niedługo w domu – stwierdził chłopiec. - Nie rozumiem, dlaczego ta Hillström tak się denerwuje. Codziennie tu wydzwaniała.

- Twoi rodzice się nie denerwują?

- Myślę, że są zadowoleni, że Martin wyjechał. Szczególnie ojciec.

Zdziwiony Wallander czekał na dalszy ciąg. Ale ten nie nastąpił.

- Dziękuję za pomoc – powiedział.

- To taka zabawa – mówił dalej chłopiec.

- Zabawa?

- Przenoszą się w inne epoki. Przebierają. Bawią się jak dzieci. Chociaż są dorośli.

- Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem – przerwał mu Wallander.

- Odgrywają role. Ale nie w teatrze. W życiu. Może wybrali się do Europy na poszukiwanie czegoś, co nie istnieje.

- Bawili się w ten sposób? Ale w święto letniej nocy je się i tańczy.

- I pije – dodał chłopiec. - Ale jak się przebrać, to jest coś więcej, prawda?

- Często się przebierali?

- Tak. Ale tak naprawdę nic nie wiem. To była tajemnica. Martin niewiele mówił.

Wallander bardziej się domyślał, niż rozumiał, o czym mówił chłopiec.

Spojrzał na zegarek. Lillemor Norman za chwilę będzie na niego czekać.

- Dziękuję za pomoc - zakończył rozmowę. - Nie zapomnij powiedzieć rodzicom, że dzwoniłem. I o co prosiłem.

- Zobaczymy - odparł chłopiec.

Trzy różne reakcje, pomyślał Wallander. Eva Hillström się boi. Lillemor Norman jest nieufna. Rodzice Martina Boge są zadowoleni, że syna nie ma w domu. Brat z kolei woli, gdy w domu nie ma rodziców.

Wziął kurtkę i wyszedł. Przeszedł obok pralni i zapisał się na piątkową listę. Mimo że Kåringgatan nie była daleko, wziął samochód. Ruch na świeżym powietrzu musi poczekać. Skręcił w Kåringgatan z Bellevuevägen. Zatrzymał się przed białą dwupiętrową willą. Kiedy otworzył furtkę, w drzwiach ukazała się Lillemor Norman. W przeciwieństwie do Evy Hillström była mocno zbudowana. Przywołał w pamięci zdjęcia w teczce Martinssona. Lena Norman była podobna do matki.

W rękę miała białą kopertę.

- Przykro mi, że przeszkadzam - powiedział Wallander.

- Lena usłyszy to i owo od mojego męża, jak wróci do domu. W głowie nam się nie mieści, że można tak przepaść bez słowa.

- Właściwie są już pełnoletni. Ale oczywiście rodzice się martwią.

Wallander wziął list i obiecał, że go zwróci.

Potem pojechał do komendy. Zajrzał do pokoju dyżurnego policjanta. Ten rozmawiał właśnie przez telefon. Pokazał na jeden z faksów. Klas Boge przesłał list od brata. Wallander poszedł do swojego pokoju i zapalił lampę na biurku. Położył obok siebie dwa listy i dwie pocztówki. Skierował na nie światło lampy i włożył okulary.

Martin Borge opisywał mecz rugby. Lena Norman pisała o pensjonacie w południowej Anglii, gdzie nie było ciepłej wody.

Odchylił się na krześle.

Jego rozumowanie było prawidłowe.

Pismo Martina Boge i Leny Norman było nierówne i niewyrobite. Tak samo podpis. Jeśli ktoś chciałby podrobić pismo jednego z nich trojga, wybór był łatwy.

Astrid Hillström.

Ogarnęło go nieprzyjemne uczucie. Starał się rozumować logicznie. Czy to coś oznacza? Właściwie nic. Nie wyjaśnia, dlaczego ktoś miałby pisać fałszywe kartki. Kto zresztą miał dostęp do ich odręcznego pisma? Mimo to nie mógł się pozbyć uczucia niepokoju.

Musimy na serio zabrać się do przejrzenia materiału, pomyślał. Gdyby rzeczywiście coś się stało, to stałoby się już dwa miesiące temu.

Przyniósł sobie kawę. Było piętnaście po dziesiątej. Powtórnie przeczytał raport z przebiegu wydarzeń. Nie znalazł nic, co by go zaskoczyło.

Kilkoro zaprzyjaźnionych młodych ludzi postanowiło razem spędzić noc świętojańską. Potem udali się w podróż. Wysłali do domu pocztówki. To wszystko.

Wallander złożył listy i umieścił je w teczce razem z pocztówkami. Dziś wieczór już nic nie zdziała. Nazajutrz omówią wszystko z Martinssonem i z pozostałymi współpracownikami i ewentualnie zadecydują o podjęciu poszukiwań.

Wallander zgasił lampę i wyszedł z pokoju. Zauważył światło u Ann-Britt Höglund. Drzwi były uchylone. Pchnął je ostrożnie, powiększając szparę. Siedziała z opuszczonym wzrokiem. Ale na biurku nie było papierów. Błat był pusty.

Wallander się wahał. Rzadko bywała w komendzie wieczorami, musiała zajmować się dziećmi. Mąż, monter, pracował w terenie i rzadko bywał w domu. Przypomniawszy sobie jej gwałtowną reakcję w stołówce. A teraz siedziała zapatrzona w pusty blat biurka. Bardzo możliwe, że chciała być sama. Kto wie jednak, czy nie wolałaby z kimś porozmawiać.

Zawsze może mi powiedzieć, żebym sobie poszedł, pomyślał Wallander. To najgorsze, co może mnie spotkać.

Zapukał do drzwi. Zaczekał na odpowiedź i wszedł.

– Widziałem, że się pali. Nie masz zwyczaju przesiadywać tu wieczorami. Chyba że dzieje się coś szczególnego.

Spojrzała na niego w milczeniu.

– Jeśli chcesz być sama, powiedz.

– Nie. Właściwie nie chcę. A co ty tu robisz? Stało się coś?

Wallander opadł na fotel dla interesantów. Czuł się jak ciężkie, nieforemne zwierzę.

- To ta młodzież, co zaginęła w noc świętojańska.

- Coś nowego?

- W zasadzie nie. Wpadła mi do głowy pewna myśl i chciałem ją sprawdzić. Trzeba się będzie temu dokładniej przyjrzeć. Bądź co bądź, Eva Hillström jest poważnie zaniepokojona.

- Co się mogło stać?

- Dobre pytanie.

- Będziemy ich szukać?

Wallander rozłożył ramiona.

- Nie wiem. Postanowimy jutro.

W pokoju panował półmrok. Światło lampy padało na podłogę.

- Jak długo już jesteś w policji? - zapytała nagle.

- Długo. Często myślę, że zbyt długo. Ale dotarło do mnie, że jestem w każdym calu policjantem. I pozostanę nim do emerytury.

Długo na niego patrzyła, zanim zadała następne pytanie.

- Jak ty to wytrzymujesz?

- Nie wiem.

- Ale jednak wytrzymujesz?

- Nie zawsze. Dlaczego pytasz?

- Pamiętasz, co powiedziałam w stołówce? Że lato było nieudane. To prawda. Mamy z mężem problemy. Nigdy go nie ma w domu. Nieraz mija tydzień, zanim się do siebie przyzwyczajamy po jego kolejnej nieobecności. A wtedy znowu wyjeżdża. Latem zaczęliśmy rozmawiać o rozwodzie. To nigdy nie jest łatwe. Szczególnie, jak się ma dzieci.

- Wiem - powiedział Wallander.

- Równocześnie zaczęłam się zastanawiać, czym ja się właściwie zajmuję. Biorę rano gazetę do ręki i czytam, że policjanci w Malmö zostali zatrzymani za paserstwo. Włączam telewizję i dowiaduję się, że wysoko postawieni oficerowie policji tkwią po uszy w bagnie zorganizowanej przestępczości. Albo występują jako honorowi goście na ślubnych przyjęciach rozmaitych łajdaków w zagranicznych kurortach. Widzę to i wiem, że jest tego coraz więcej. W końcu zaczynam się

zastanawiać, czym się zajmuję. A raczej, czy będę w stanie przez następne trzydzieści lat pracować w policji.

- Wszystko się chwieje i trzeszczy w posadach - stwierdził Wallander. - Już od dawna. Korupcja to nic nowego. Zawsze istnieli nieuczciwi policjanci. Ale teraz ich więcej. I dlatego jest ważne, żeby tacy jak ty się nie załamywali.

- A ty?

- Mnie też to dotyczy.

- Ale jak to wytrzymujesz?

Wallander wyczuł w jej pytaniach agresję. Znał to uczucie. Ile razy siedział ze wzrokiem wbitym w blat biurka, nie potrafiąc znaleźć żadnych okoliczności łagodzących dla swojej pracy?

- Pocięszam się, że beze mnie byłoby jeszcze gorzej - odpowiedział. - Są chwile, kiedy to pomaga. Słaba pociecha, ale to lepsze niż nic.

Pokręciła głową.

- Co się z tym krajem porobiło?

Wallander czekał na dalszy ciąg. Nie doczekał się. Z ulicy dobiegł loskot przejeżdżającej ciężarówki.

- Pamiętasz brutalny napad wiosną? - zapytał Wallander.

- W Svarte?

Pamiętała.

- Dwaj czternastoletni chłopcy pobili dwunastolatka. Potem, kiedy już nieprzytomny leżał na ziemi, zaczęli po nim deptać. Tak długo, dopóki go nie zdeptali na śmierć. Nastąpiła przerażająca zmiana. I nigdy przedtem nie dotarła do mnie z równą ostrością. Ludzie zawsze się bili. Ale bójka się kończyła, kiedy jeden z nich leżał na ziemi pokonany. Można to dowolnie nazwać. Na przykład uczciwą grą. Kiedyś było to oczywiste. Teraz jest inaczej. Ci chłopcy nigdy się tego nie nauczyli. Jak gdyby całe pokolenie młodzieży zostało opuszczone przez rodziców. Jak gdyby tumiwizizm stał się podstawową normą postępowania. W policji trzeba nagle zacząć myśleć na nowo. Warunki radykalnie się zmieniły. Nagromadzone wcześniej doświadczenie straciło ważność.

Zamilkł.

- Nie wiem, czego się spodziewałam, kiedy chodziłam do Wyższej Szkoły Policji - powiedziała. - Ale nie tego.

- Tak czy owak, trzeba wytrzymać. Nie wyobrażałaś sobie również, jak myślę, że pewnego dnia mogą cię postrzelić.

- Czasem próbowałam. Podczas ćwiczeń z bronią. Strzelałam, usiłując sobie wyobrazić, że kule trafiają we mnie. Ale bólu wyobrazić sobie nie można. I człowiek nie wierzy, że może i jemu się coś przytrafić.

Z korytarza dochodziły głosy. Policjanci z wieczornej zmiany wymieniali uwagi o jakimś nietrzeźwym kierowcy. Potem znowu zapanowała cisza.

- Jak ty się właściwie czujesz?

- Masz na myśli: od kiedy mnie postrzelono?

Skinął głową.

- Śni mi się to. Śni mi się, że umieram. Albo że kula trafia mnie w głowę. To chyba najgorsze.

- Po czymś takim można już zawsze się bać.

Wstała z krzesła.

- W dniu, kiedy naprawdę zacznę się bać, odejdę z policji. Ale chyba jeszcze nie jestem na tym etapie. Dziękuję ci, że przyszedłeś. Zwykle sama sobie radzę z problemami. Ale dziś wieczór czułam się bezsilna.

- Samo przyznanie się świadczy o sile.

Włożyła kurtkę. Uśmiechnęła się blado. Wallander zastanawiał się, czy się wysypia. Ale nic nie powiedział.

- Porozmawiamy jutro o przemyśle samochodów? - spytała.

- Może po południu? Pamiętaj, że przed południem musimy pogadać o tamtych młodych ludziach.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Wyglądasz na zmartwionego.

- Eva Hillström jest zaniepokojona. Nie mogę tego lekceważyć.

Wyszli razem na ulicę. Nie widział jej samochodu na parkingu. Zaproponował, że podrzuci ją do domu, ale odmówiła.

- Chcę się przejść. Jest tak ciepło. Co za sierpień!

- Kanikuła - powiedział. - Cokolwiek to znaczy.

Pożegnali się. Wallander wsiadł do samochodu i pojechał do domu. Wypił filiżankę herbaty i przejrzał gazetę „Ystads Allehanda”. Potem poszedł się położyć. Uchylił okno – w sypialni było ciepło.

Po chwili już spał.

Ze snu wyrwał go przejmujący ból.

Złapał go kurcz w lewej łydce. Postawił nogę na podłodze i napiął mięsień. Ból puścił. Położył się ostrożnie. Bał się, że kurcz powróci. Zegar na nocnym stoliku pokazywał wpół do drugiej.

Znów śnił mu się ojciec. Fragmenty bez związku. Błądzili ulicami nieznanego miasta. Kogoś szukali. Nie wiadomo kogo. Firanka w oknie łagodnie falowała. Myślał o matce Lindy, Monie, która tak długo była jego żoną. Żyła teraz zupełnie innym życiem – z mężem, który grał w golfa i zapewne nie miał podwyższonego poziomu cukru. Myśli wędrowały dalej. Nagle ujrzał siebie idącego z Bajbą po rozległej plaży Skagenu.

Po chwili Bajba znikła.

Gwałtownie oprzytomniał.

Usiadł na łóżku. Myśl przyszła nie wiadomo skąd. Przedarła się przez inne myśli i nagle nim owładnęła. Svedberg.

Nie zawiadomił, że jest chory. To do niego niepodobne. Zresztą nigdy nie chorował. Gdyby coś się stało, dałby znać. Powinien był wcześniej o tym pomyśleć. To, że Svedberg się nie odezwał, może oznaczać tylko jedno: nie był w stanie przekazać wiadomości.

Wallander poczuł lęk. Naturalnie, to tylko wytwór jego fantazji. Co mogło się stać Svedbergowi?

Uczucie lęku jednak nie ustępowało. Wallander znów spojrział na zegarek. Potem poszedł do kuchni i odszukał numer telefonu Svedberga. Wystukał numer. Po kilku sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka. Wallander odłożył słuchawkę. Teraz był już pewien, że coś się stało. Ubrał się i zszedł do samochodu. Podniósł się wiatr, ale nadal było ciepło. Do Stortorget dojechał w parę minut. Zaparkował i ruszył w stronę Lilla Norregatan, gdzie mieszkał Svedberg. W oknie paliło się światło. Wallander poczuł ulgę. Ale tylko przez kilka krótkich

sekund. Potem niepokój powrócił z jeszcze większą siłą. Dlaczego Svedberg nie odbiera, skoro jest w domu? Wallander pchnął frontowe drzwi. Były zamknięte. Nie znał kodu. Ale w drzwiach była szczelina. Wallander wyciągnął szczyryk i rozzejrzył się naokoło. Potem wsunął najgrubsze ostrze w szparę w drzwiach i pchnął.

Drzwi puściły.

Svedberg mieszkał na samej górze, na trzecim piętrze. Wallander zszedł, wchodząc po schodach. Przyłożył ucho do drzwi. Cisza. Otworzył otwór na listy. Nic. Zadzwoił. Dźwięk dzwonka rozległ się w mieszkaniu.

Po trzecim razie zaczął walić w drzwi.

Zastanawiał się, co dalej. Nie chciał być sam. Sięgnął do kieszeni. Komórka została na stole w kuchni. Zszedł na dół po schodach i wsunął kamień między skrzydła drzwi wejściowych.

Potem poszedł szybkim krokiem do automatów telefonicznych przy Stortorget. Wybrał numer Martinssona.

Martinsson odebrał telefon.

- Przepraszam, że cię budzę - powiedział Wallander. - Ale potrzebuję pomocy.

- Co się dzieje?

- Złapałeś w końcu Svedberga?

- Nie.

- Musiało się coś stać.

Martinsson zamilkł. Dopiero teraz otrzeźwiał ze snu.

- Czekam na ciebie przed domem na Lilla Norregatan - poinformował Wallander.

- Dziesięć minut - odparł Martinsson. - Najwyżej.

Wallander poszedł do samochodu i otworzył bagażnik. Leżało tam kilka narzędzi w brudnej plastikowej torbie. Wyjął gruby łom. Potem wrócił pod dom Svedberga. Dziewięć minut później Martinsson podjechał samochodem. Wallander spostrzegł, że pod marynarką ma górę od piżamy.

- Jak myślisz, co się mogło stać?

- Nie wiem.

Weszli po schodach. Wallander skinął na Martinssona, żeby zadzwonił do drzwi. I tym razem nikt nie otwierał. Spojrzeli na siebie.

- Może ma w biurze zapasowe klucze?

Wallander potrząsnął głową.

- To będzie za długo trwało.

Martinsson odsunął się na bok. Wiedział, co nastąpi. Wallander chwycił łom. Następnie wyważył drzwi.

#### 4

Noc dziewiątego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku była jedną z najdłuższych w życiu Wallandera. Kiedy o świcie, na chwiejnych nogach, wyszedł z domu przy Lilla Norregatan, nie mógł pozbyć się uczucia, że tkwi w niepojętym koszmarze.

Lecz wszystko, co zobaczył podczas tej długiej nocy, wydarzyło się naprawdę. Rzeczywistość była porażająca. Jako policjant wiele razy w życiu był świadkiem spustoszeń w miejscu, gdzie rozegrał się brutalny i krwawy dramat. Ale nigdy przedtem osobiście go to nie dotknęło. Kiedy wywał drzwi do mieszkania Svedberga, nie wiedział, co tam zastanie. Wciskając łom w szparę przy futrynie, obawiał się jednak najgorszego. Przecucie go nie myliło. Bezszelestnie weszli do przedpokoju, jak gdyby wkraczali na terytorium wroga. Martinsson stał tuż za nim. Było ciemno. Tylko z głębi mieszkania dochodziło światło. Przez chwilę stali w całkowitym milczeniu. Wallander słyszał za plecami niespokojny oddech Martinssona. Skierowali się w stronę pokoju dziennego. W drzwiach Wallander cofnął się tak gwałtownie, że wpadł na Martinssona, który właśnie pochylił się do przodu, usiłując coś dojrzeć.

Później Wallander będzie wspominać reakcję Martinssona. Nigdy tego nie zapomni. Martinsson zaczął zawodzić jak dziecko, kiedy ich oczom ukazał się makabryczny widok.

Na podłodze leżał Svedberg. Jedną nogę miał przewieszoną przez oparcie przewróconego krzesła. Ciało było dziwnie zdeformowane, jak gdyby bez kręgosłupa.

Wallander znieruchomiał w drzwiach, zastygły z przerażenia. Scena nie pozostawiała żadnych wątpliwości. To Sved-

berg. Był martwy. Człowiek, z którym od tylu lat razem pracował, leżał bez życia w groteskowej pozie. Przestał istnieć. Już nigdy nie będzie siedział na swoim miejscu przy stole, w sali zebrań, i drapał się w łysinę końcem długopisu.

Svedberg nie miał już łysiny. Pół głowy miał odstrzelone. Trochę dalej leżała dubeltówka. Krew trysnęła na białą ścianę, kilka metrów od leżącego krzesła.

Wallander stał bez ruchu i z walącym sercem wpatrywał się w scenę, która miała na zawsze pozostać mu przed oczami. Svedberg z odstrzeloną głową, przewrócone krzesło i broń leżąca na czerwonym dywanie, przetykanym jasnoniebieskimi paskami.

Przez głowę przemknęła mu absurdalna myśl. Svedberg nie będzie już musiał walczyć z panicznym lękiem przed osami.

- Co się stało? - odezwał się Martinsson. Głos mu się załamywał. Wallander spostrzegł, że Martinsson niemal płacze. On sam daleki był ciągle od tego rodzaju reakcji. Nie potrafił wybuchnąć płaczem w obliczu czegoś, czego nie pojmował. A tego, co miał przed oczami, nie był w stanie pojąć.

Svedberg martwy? To czysty nonsens. Svedberg to czterdziestoparoletni policjant, który jutro jak zwykle będzie siedział na swoim stałym miejscu, na kolejnej naradzie grupy dochodzeniowej. Svedberg ze swoją łysiną, lękiem przed osami. Svedberg, który w każdy piątek zażywał samotnych kąpiel w policyjnej saunie. On nie może tam leżeć. To ktoś inny, ktoś do niego podobny. Wallander instynktownie spojrział na zegarek. Było dziewięć po drugiej. Stali jeszcze kilka minut w drzwiach. Potem wrócili do przedpokoju. Wallander zapalił ścienną lampę. Zobaczył, że Martinsson dygocze. Zastanawiał się, jak sam wygląda.

- Musimy zarządzić pełną mobilizację - powiedział.

W przedpokoju stał telefon. Nie było automatycznej sekretarki. Martinsson skinął głową i już miał podnieść słuchawkę. Wallander go powstrzymał.

- Zaczekaj. Trzeba się zastanowić.

Nad czym właściwie mieli się zastanawiać? Może liczył, że zdarzy się cud? Że Svedberg nagle stanie za nimi i okaże

się, że wszystko, co przed chwilą widzieli, nie wydarzyło się naprawdę?

- Pamiętasz domowy telefon Lisy Holgersson? - spytał.

Z doświadczenia wiedział, że Martinsson ma świetną pamięć do numerów i adresów. Obaj mieli równie znakomitą pamięć. Martinsson i Svedberg. Teraz został tylko jeden.

Martinsson, zacinając się, podał numer. Wallander wystukał cyfry.

Lisa Holgersson odebrała po drugim sygnale, musiała mieć telefon przy łóżku.

- Mówi Wallander. Przepraszam, że cię budzę.

Była zupełnie przytomna.

- Musisz tu przyjechać - powiedział. - Jesteśmy z Martinssonem w mieszkaniu Svedberga na Lilla Norregatan. Svedberg nie żyje.

Usłyszał, jak jęknęła.

- Co się stało?

- Nie wiem. Zginął od kuli.

- To straszne. Czy to zabójstwo?

Wallander pomyślał o strzelbie na podłodze.

- Nie wiem - odparł. - Zabójstwo albo samobójstwo. Nie wiem.

- Skontaktowałeś się z Nybergiem?

- Woląłem najpierw zadzwonić do ciebie.

- Już jadę, tylko się ubiorę.

- Przez ten czas złapiemy Nyberga.

Wallander nacisnął palcem widełki. Podał słuchawkę Martinssonowi.

- Nyberg. Zacznij od niego.

Do pokoju dziennego wchodziło się z dwóch stron. Podczas gdy Martinsson rozmawiał przez telefon, Wallander przeszedł naokoło, przez kuchnię. Na podłodze leżała szuflada od kuchennej szafki. Drzwiczki narożnej szafki były otwarte. Papiery i kwity leżały rozrzucone po podłodze. Wallander rejestrował wszystko wzrokiem. Słyszał głos Martinssona, który tłumaczył technikowi, co się stało. Wallander szedł dalej. Uważnie stawiał stopy. Wszedł do sypialni Svedberga. Wszystkie trzy szuflady komody były wysunięte, łóżko niezaścielone.

Narzuta zsunęła się na podłogę. Z nieopisanym smutkiem stwierdził, że Svedberg spał w kwiecistej pościeli. Łóżko przypominało letnią łąkę. Przeszedł dalej. Przed salonem znajdował się mały pokój do pracy. Stały w nim regały i biurko. Svedberg lubił porządek. Na jego biurku w komendzie nigdy nie było najmniejszego zbędnego papierka. A tu, we własnym domu, powyrywane z półek książki i wypatroszone szuflady biurka. Wszędzie poniewierały się papiery.

Wallander doszedł do salonu, tym razem od drugiej strony. Znajdował się teraz bliżej strzelby, a dalej od zniekształconego ciała Svedberga. Stał nieruchomo i patrzył na scenę przed sobą. Na wszystkie zastygłe w bezruchu szczegóły, świadków dramatu, który się tutaj rozegrał. W głowie miał zamęt. Ktoś musiał chyba słyszeć strzał? Lub strzały? Wszystko wskazywało na zabójstwo na tle rabunkowym. Ale czy tak było? Co właściwie się stało?

Martinsson zjawił się w drzwiach z drugiej strony salonu.

- Są w drodze - powiedział.

Wallander pomału ruszył tą samą drogą z powrotem. Był w kuchni, kiedy nagle usłyszał szczekanie, a potem zirytowany głos Martinssona. Wyszedł szybko do przedpokoju. Na klatce schodowej stał policyjny patrol z owczarkiem, za nim kilka osób w szlafrokach. Funkcjonariusz z psem nazywał się Edmundsson i od niedawna pracował w Ystadzie.

- Dostaliśmy telefon - odezwał się niepewnie na widok Wallandera. - O włamaniu. Do mieszkania niejakiego Svedberga.

Wallander uświadomił sobie, że Edmundsson nie wie, o jakiego Svedberga chodzi.

- W porządku - powiedział. - Tu się zdarzył wypadek. To mieszkanie inspektora kryminalnego Svedberga.

Edmundsson zbladł.

- Nie miałem pojęcia.

- Skąd miałeś wiedzieć? Wracaj na komendę. Zarządziliśmy pełną mobilizację.

Edmundsson spojrział na niego pytająco.

- Co się stało?

- Svedberg nie żyje - odparł Wallander. - To wszystko, co na razie wiemy.

Natychmiast pożałował, że cokolwiek powiedział. Sąsiedzi na schodach się przysłuchiwali. Ktoś mógł wpaść na pomysł zawiadomienia prasy. W tej chwili Wallanderowi najmniej zależało na tłoczących się na klatce schodowej dziennikarzach.

Policjant, który zginął w niewyjaśnionych okolicznościach - taka wiadomość dobrze się sprzedaje.

Edmundsson zszedł z psem po schodach. Wallanderowi przemknęło przez myśl, że nie wie, jak on się wabi.

- Możesz się zająć sąsiadami? - zwrócił się do Martinssona.  
- Co jak co, ale powinni byli przynajmniej usłyszeć strzały. Może od razu udałoby się ustalić godzinę.

- Był więcej niż jeden strzał?

- Nie wiem. Ale ktoś musiał coś słyszeć.

Wallander zauważył, że drzwi naprzeciw mieszkania Svedberga były otwarte.

- Poproś, żeby cię tam wpuścili. Nie chciałbym tu mieć niepotrzebnych ludzi. Na schodach będzie bieżanina.

Martinsson skinął głową. Miał zaczerwienione oczy. Jeszcze dygotał.

- Co się stało, do cholery? - zapytał.

Wallander potrząsnął głową.

- Nie wiem.

- Wygląda na włamanie? Wszystko powyrywane, porozrzućane.

Na dole trzasnęły drzwi wejściowe. Słysząc było zbliżające się kroki. Martinsson zaczął kierować zaspanych i zaniepokojonych ludzi do mieszkania naprzeciwko.

Lisa Holgersson szybko wchodziła po schodach.

- Wolalbym cię przygotować na to, co cię czeka - powiedział Wallander.

- Tak źle to wygląda?

- Svedberg został trafiony w głowę. Z dubeltówki. Z bliska.

Skrzywiła się. Widział, jak starała się nad sobą zapanować. Wallander wszedł z nią do przedpokoju i wskazał na salon. Podeszła do uchylonych drzwi i gwałtownie się cofnęła. Zachwiała się, jakby miała zemdleć. Wallander chwycił ją za ramię

i zaprowadził do kuchni. Osunęła się na pomalowane na niebiesko krzesło. Wpatrywała się w niego rozszerzonymi oczami.

- Kto to zrobił?

- Nie wiem.

Wallander zdjął szklanę z suszarki i nalał jej wody.

- Svedberga wczoraj nie było - wyjaśnił. - Nikogo nie zawiadomił.

- To do niego niepodobne - stwierdziła Lisa Holgersson.

- Nawet bardzo. Obudziłem się w nocy z uczuciem, że coś jest nie tak. Przyjechałem tutaj.

- Więc to nie musiało się stać wczoraj wieczorem?

- Nie. Martinsson próbuje się czegoś dowiedzieć od sąsiadów. Powinni byli coś słyszeć. Strzał z dubeltówki jest donośny. Jeżeli nie, to ustaleniem godziny zajmą się eksperci sądowi w Lundzie.

Wallanderowi rozbrzmiewało w głowie echo jego własnych, rzeczowych komentarzy. Chwyciły go mdłości.

- Wiem, że nie był żonaty. Miał jakąś rodzinę? - spytała Lisa Holgersson.

Wallander się zastanowił. Wiedział, że matka Svedberga zmarła kilka lat temu. O ojcu nic nie słyszał. Była na pewno jedna krewna, bo poznał ją przed niespełna rokiem, przy okazji jakiegoś śledztwa.

- Miał kuzynkę, Ylvę Brink, położną. Poza nią nie znam nikogo.

Z przedpokoju słyhać było głos Nyberga.

- Posiedzę tu jeszcze kilka minut - powiedziała Lisa Holgersson.

Wallander wyszedł do Nyberga, który właśnie ściągał z nóg gumowce.

- Co się tu, do cholery, dzieje?

Nyberg był zdolnym technikiem kryminalnym. Miał jednak trudny charakter i potrafił być nieznośny. Nie zorientował się jeszcze, że chodzi o kolegę z pracy. Martwego kolegę. Może Martinsson zapomniał mu powiedzieć.

- Wiesz, gdzie jesteś? - zapytał Wallander ostrożnie.

Nyberg spojrzał na niego ze złością.

- Wiem, że wezwano mnie do mieszkania na Lilla Norregatan. Martinsson był jakoś dziwnie rozkojarzony, jak dzwonił. O co chodzi?

Wallander spojrzał na niego z powagą. Nyberg zauważył jego wzrok i zamarł.

- To Svedberg - powiedział Wallander. - Nie żyje. Wygląda na to, że został zamordowany.

- Kalle? - spytał Nyberg z niedowierzaniem.

Wallander skinął głową i poczuł, jak głos uwiązł mu w gardle. Nyberg był jednym z nielicznych, którzy mówili do Svedberga po imieniu. Miał na imię Karl Evert. Nyberg nazywał go Kalle.

- Leży tam w środku - mówił dalej Wallander. - Zabity strzałem z dubeltówki. Prosto w twarz.

Nyberg skrzywił się.

- Nie muszę ci mówić, jak to wygląda - powiedział Wallander.

- Nie - odparł Nyberg. - Nie musisz.

Nyberg skierował się w głąb mieszkania. On również cofnął się w drzwiach. Wallander odczekał chwilę, dając Nybergowi czas na ogarnięcie sytuacji.

Potem podszedł do niego.

- Mam pytanie. Jak widzisz, strzelba leży przynajmniej dwa metry od ciała. Moje pytanie brzmi: czy mogłaby tam wylądować, gdyby Svedberg popełnił samobójstwo?

Nyberg chwilę się namyślał. Potem pokręcił głową.

- Nie - powiedział. - To niemożliwe. Gdyby się sam zastrzelił, broń nie poleciałaby tak daleko. To absolutnie wykluczone.

Przez chwilę Wallander poczuł niejasną ulgę. Svedberg się nie zastrzelił.

W przedsiionku zaczęli się zbierać jacyś ludzie. Był lekarz i Hansson. Jeden z techników rozpakowywał torbę.

- Proszę o chwilę uwagi - zwrócił się do nich Wallander. - Tam w środku leży inspektor kryminalny Svedberg. Nie żyje. Został zamordowany. Chcę, żebyście wiedzieli, że to straszny widok. Zналиśmy go. Ubolewamy nad jego śmiercią. Był naszym kolegą i przyjacielem. Jest nam bardzo ciężko.

Zamilkł. Czuł, że powinien powiedzieć coś więcej. Ale nie znajdował słów. Wrócił do kuchni, podczas gdy Nyberg z kolegami zabrali się do roboty. Lisa Holgersson nadal siedziała na krześle.

- Muszę zadzwonić do jego kuzynki - stwierdziła. - Jeżeli to najbliższa rodzina.

- Mogę to zrobić - zaproponował Wallander. - Znam ją.

- Zreferuj mi przebieg wydarzeń. Co się właściwie stało?

- Potrzebuję do tego Martinssona. Pójdę po niego.

Wallander wyszedł na klatkę schodową. Drzwi do sąsiedniego mieszkania były uchylone. Zapukał i wszedł. Martinsson był w salonie z czterema innymi osobami. Jedna z nich była całkowicie ubrana, reszta miała na sobie szlafroki. Dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Skinął na Martinssona.

- Proszę tymczasem zaczekać - powiedział do pozostałych.

Poszli do kuchni. Martinsson był bardzo blady.

- Zacznijmy od początku - powiedział Wallander. - Kto ostatni widział Svedberga? I kiedy?

- Nie wiem, czy byłem ostatni. Ale w środę przed południem mignął mi w stołówce. Około jedenastej.

- Jak wyglądał?

- Niczego nie zauważyłem, więc chyba normalnie.

- Dzwoniłeś do mnie tego dnia po południu. Umówiliśmy się na czwartek rano.

- Bezpośrednio po naszej rozmowie poszedłem do pokoju Svedberga. Nie było go. W recepcji powiedzieli, że już nie wróci.

- O której wyszedł?

- Nie pytałem.

- Co dalej?

- Zadzwoiłem do domu. Odpowiedziała automatyczna sekretarka. Zostawiłem wiadomość o czwartkowym zebraniu. Potem dzwoniłem jeszcze wiele razy, ale nikt się nie zgłaszał.

Wallander przez chwilę się zastanawiał.

- W środę Svedberg wychodzi z komendy. Wszystko jest jak zwykle. W czwartek nie zjawia się w pracy. To się nie

zdarzało. Niezależnie od tego, czy odsłuchiwał wiadomość, czy nie, Svedberg nigdy nie opuszczał pracy bez zawiadomienia.

- Innymi słowy, mogło się to stać już w śróde – stwierdziła Lisa Holgersson

Wallander skinął głową.

Musimy złapać moment, kiedy normalne przechodzi w nienormalne, pomyślał. Przyszła mu do głowy kolejna myśl w związku z uwagą Martinssona na temat jego automatycznej sekretarki.

- Zaczekajcie chwilę – powiedział i wyszedł z kuchni. Wszedł do gabinetu Svedberga. Na stole stała automatyczna sekretarka. Przeszedł do salonu. Nyberg klęczał obok dubeltówki. Wallander skinął na niego. Zaprowadził go do gabinetu.

- Chciałbym odsłuchiwać wiadomości na sekretarce. Ale boję się zniszczyć ewentualne ślady.

- Możemy cofnąć taśmę do pozycji wyjściowej – zaproponował Nyberg.

Na rękach miał plastikowe rękawiczki. Wallander kiwnął głową. Nyberg wcisnął przycisk odsłuchiwania. Były trzy wiadomości od Martinssona. Za każdym razem, kiedy dzwonił, podawał godzinę. Nic więcej.

- Chciałbym posłuchać, co mówi Svedberg – powiedział Wallander.

Nyberg wcisnął inny przycisk. Wallander wzdrygnął się na dźwięk głosu Svedberga. Nyberg również poczuł się nieswojo. *Nie ma mnie w domu. Proszę zostawić wiadomość.* To wszystko.

Wallander wrócił do kuchni.

- Twoje nagrania są na taśmie – poinformował Martinssona. - Ale z tego naturalnie nie wynika, że ich wysłuchał.

Zapanowała cisza. Wszyscy zastanawiali się nad słowami Wallandera.

- Co mówią sąsiedzi? – spytał.

- Nikt niczego nie słyszał – odpowiedział Martinsson. - To bardzo dziwne. Nikt nie słyszał żadnego strzału. A niemal wszyscy byli w domu.

Wallander zmarszczył czoło.

- To niemożliwe, żeby nikt niczego nie słyszał.

- Będę ich jeszcze przesłuchiwał.

Martinsson wyszedł. Do kuchni zajął policjant.

- Za drzwiami jest jakiś dziennikarz - powiedział.

Niech to szlag, pomyślał Wallander. Ktoś już ich zdążył zawiadomić.

Spojrzał na Lisę Holgersson.

- Najpierw musimy się skontaktować z rodziną - powiedziała.

- Nie da się tego odwlec dłużej niż do jutra w południe - stwierdził Wallander.

Zwrócił się do czekającego policjanta.

- W tej chwili nie mamy nic do powiedzenia. Jutro w komendzie będzie konferencja prasowa.

- O jedenastej - dodała Lisa Holgersson.

Policjant wyszedł. Nyberg wrzasnął w salonie. Potem znów zrobiło się cicho. Nyberg miał usposobienie choleryka. Ale jego wybuchy trwały krótko. Wallander wszedł do gabinetu i podniósł z podłogi książkę telefoniczną. W kuchni, przy stole odszukał numer telefonu Ylvy Brink. Spojrzał pytającym wzrokiem na Lisę Holgersson.

- Zadzwoń ty - odparła.

Wallander uważał, że nie ma nic gorszego niż powiadomienie rodziny, której członek poniósł gwałtowną śmierć. Kiedy tylko mógł, brał ze sobą policyjnego kapelana. Nigdy się do tego nie przyzwyczaił, mimo że wiele razy musiał to robić. Teraz też miał opory, choć Ylva Brink była tylko kuzynką. Z niepokojem słuchał pierwszego sygnału. Czuł, jak sztywnieje.

Po chwili włączyła się automatyczna sekretarka. Ylva miała nocny dyżur na oddziale położniczym.

Wallander odłożył słuchawkę. Przypomniało mu się nagle, jak zaledwie dwa lata temu odwiedził ją ze Svedbergiem w szpitalu.

Teraz Svedberg nie żyje. Ciągle nie mógł tego pojąć.

- Jest w pracy. Muszę tam pójść.

- Nie możemy czekać - powiedziała Lisa Holgersson. - Svedberg może mieć inną rodzinę, o której nie wiemy. Bliższą niż kuzyni.

Wallander pokiwał głową. Miała rację.

- Chcesz, żebym z tobą poszła? - spytała.

- Nie musisz.

Wallander najchętniej poszedłby z Ann-Britt. W tej samej chwili uświadomił sobie, że do tej pory nikt jej nie zawiadomił. Powinna być tu z nimi.

Lisa Holgersson wstała i wyszła z kuchni. Wallander usiadł na jej miejscu i wybrał numer Ann-Britt. Odezwał się rozespany męski głos.

- Muszę mówić z Ann-Britt. Tu Wallander.

- Kto?

- Kurt. Z policji.

Mężczyzna był nadal rozespany. I na dodatek zły.

- Co jest, do cholery?

- Czy to numer Ann-Britt Höglund?

- Jedyna baba w tym domu nazywa się Alma Lundin - ryknął mężczyzna i rzucił słuchawkę. Wallanderem aż wstrząsnęło. To pomyłka. Tym razem wybierał powoli. Ann-Britt odezwała się po drugim sygnale. Równie szybko jak Lisa Holgersson.

- Mówi Kurt.

Nie robiła wrażenia zaspanej. Może zresztą nie spała, z powodu osobistych problemów? Teraz dojdzie jeszcze jeden, pomyślał Wallander.

- Co się stało?

- Svedberg nie żyje. Prawdopodobnie został zamordowany.

- Niemożliwe.

- Niestety tak. U siebie w mieszkaniu. Lilla Norregatan.

- Wiem, gdzie to jest.

- Przyjedziesz?

- Już jadę.

Wallander odłożył słuchawkę i nadal siedział przy stole. Jeden z techników zjawił się w drzwiach kuchni. Wallander zbył go ruchem ręki. Musiał pomyśleć. Niedługo. Potrzebował chociaż minuty dla siebie. I rzeczywiście wystarczyła mu minuta, by dojść do wniosku, że w całej sytuacji kryje się coś dziwnego. Coś, co zupełnie się nie zgadza. Ale nie potrafił powiedzieć co.

Technik znów zajrzał do kuchni.

- Nyberg chce z tobą mówić.

Wallander przeszedł do salonu. Panowała tam pęsejna atmosfera. Svedberg był ich kolegą. Nie był specjalnie barwną postacią, ale lubiano go. Ktoś go zabił.

Lekarz klęczał przy zwłokach. Od czasu do czasu pokój rozświetlał błysk flesza. Nyberg robił notatki. Podszedł do stojącego w drzwiach Wallandera.

- Czy Svedberg miał broń?
- Masz na myśli dwururkę?
- Tak.
- Nie wiem. Ale nie sądzę, żeby polował.
- Byłoby dziwne, gdyby sprawca pozostawił broń.

Wallander przytaknął. To była jedna z jego pierwszych myśli.

- Czy uderzyło cię jeszcze coś szczególnego? - zapytał.
- Nyberg spojrział spod przymrużonych powiek.

- Wszystko jest szczególne, kiedy jeden z kolegów ma odstrzeloną głowę.

- Wiesz, co mam na myśli.

Wallander nie czekał na odpowiedź. Odwrócił się i wyszedł. W korytarzu zderzył się z Martinssonem, który kierował się do salonu.

- Jak leci? Mamy jakąś godzinę?

- Nikt niczego nie słyszał. Ale wygląda na to, że od poniedziałku zawsze ktoś był w domu. Przez okragłą dobę. Albo na tym piętrze, albo piętro niżej.

- I nikt niczego nie słyszał? To niemożliwe!

- Piętro niżej mieszka emerytowany nauczyciel szkoły średniej, zdaje się, że nieco przygłuchy. Ale słuch pozostałych nie pozostawia nic do życzenia.

Wallander nie rozumiał. Ktoś musiał słyszeć strzał. Albo strzały.

- Próbuuj jeszcze coś z nich wyciągnąć - powiedział. - Muszę jechać do szpitala. Pamiętasz kuzynkę Svedberga, Ylvę Brink? Położną?

Martinsson pamiętał.

- To, zdaje się, najbliższa krewna.
- Czy on nie miał ciotki w Västergötlandzie?
- Zapytam Ylvę.

Wallander zszedł po schodach. Musiał zaczerpnąć powietrza. Przed bramą czekał reporter, niejaki Wickberg. Wallander go znał. Był z gazety „Ystads Allehanda”.

- Co się tu dzieje? Pełna mobilizacja w środku nocy w mieszkaniu inspektora policji kryminalnej, Karla Everta Svedberga.

- Nie mogę nic powiedzieć – odparł Wallander. – O jedenastej będzie konferencja prasowa w komendzie.

- Nie możesz czy nie chcesz?

- Naprawdę nie mogę.

Dziennikarz pokiwał głową.

- To znaczy, że ktoś nie żyje. Czy tak? Nie możesz nic powiedzieć, ponieważ musisz poinformować rodzinę? Zgadza się?

- Gdyby tak było, mógłbym zadzwonić.

Wickberg uśmiechnął się z nieukrywaną satysfakcją.

- Tego się nie praktykuje. Zawiadamia się policyjnego kapelana, jeżeli takowy jest. Więc Svedberg nie żyje?

Wallander był zbyt zmęczony, żeby się złościć.

- Nie interesują mnie twoje przypuszczenia – powiedział. - Konferencja prasowa będzie o jedenastej. Wcześniej nie usłyszysz słowa, ani ode mnie, ani od nikogo innego.

- Dokąd idziesz?

- Przewietrzyć się.

Poszedł ulicą Lilla Norregatan. Po przejściu kilku przecznic obejrzał się za siebie. Wickberg nie deptał mu po piętach. Wallander skręcił w prawo, w Sladdergatan, następnie w lewo, w Stora Norregatan. Poczul pragnienie. Chciało mu się sikać. Nic nie jechało. Zatrzymał się pod ścianą budynku i ulżył sobie. Potem ruszył dalej.

Coś jest nie tak, pomyślał. Coś jest nie w porządku z całą tą sprawą.

Nie mógł zrozumieć co, ale uczucie się wzmagало. Czuł ucisk w żołądku. Dlaczego Svedberg został zastrzelony? Co się nie zgadzało w potwornym widoku mężczyzny z odstrzealoną głową?

Dotarł do szpitala. Okrążył budynek i znalazł się przed wejściem do izby przyjęć. Zadzwoił do drzwi, wszedł i wjechał windą na oddział położniczy. Ogarnęło go znajome uczucie.

Znowu szedł ze Svedbergiem na spotkanie z Ylvą Brink. Svedberga jednak nie było. Jakby nigdy nie istniał.

Nagle ujrzał Ylvę przez szklane drzwi. Ich oczy się spotkały. Minęło kilka sekund, zanim go rozpoznała.

Podeszła do drzwi i otworzyła.

W tej samej chwili zrozumiała, że coś się stało.

## 5

Usiedli w gabinecie na oddziale położniczym. Było dziewięć po trzeciej. Wallander opowiedział jej, co się wydarzyło. Svedberg nie żyje. Zabity jednym lub kilkoma strzałami z dubeltówki. Nie wiedzieli, kto i dlaczego strzelał. Ani kiedy to nastąpiło. Unikał szczegółów dotyczących miejsca zbrodni.

Kiedy skończył mówić, do pokoju weszła pielęgniarka z nocnej zmiany z pytaniem do Ylvy Brink.

- Przyniosłem wiadomość o śmierci kogoś z rodziny - powiedział Wallander. - Może pani zaczekać?

Pielęgniarka zawróciła. Zanim zdążyła wyjść, Wallander poprosił ją o szklanek wody. Miał tak sucho w ustach, że język kleił mu się do podniebienia.

- Jesteśmy wstrząśnięci i zaszokowani - kontynuował Wallander po wyjściu pielęgniarki. - To, co się stało, jest zupełnie niewiarygodne.

Ylva Brink nie odpowiadała. Była bardzo blada, ale wydawała się opanowana. Pielęgniarka wróciła z wodą.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytała.

- Nie w tej chwili - odparł Wallander.

Opróżnił szklanek jednym haustem. Był równie spragniony jak przedtem.

- Nie pojmuję tego - powiedziała Ylva. - Nie dociera do mnie.

- Ja też nie. Minie dużo czasu, zanim to do mnie dotrze.

Odszukał pióro w kieszeni kurtki. Jak zwykle nie zabrał z sobą notesu. Obok krzesła stał kosz na śmieci. Wyciągnął zmiętą, porysowaną kartkę, wygładził ją i podłożył gazetę ze stołu.